Nr. 16. Warszawa, dnia 10 (22) Kwietnia 1899 r. Rok XIX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

— Przypominamy, że d. 1 czerwca r. b. upływa termin naszego konkursu poetyckiego. Dotąd nadesłano:

1) Verbum nobile.
2) Babunia.
3) Męczennicy.
4) Romans morza.
5) Stach Wirski.
6) Dla matki.

Powtarzamy warunki konkursu:

1) Co do formy, utwór ma być napisany wierszem, w jakiejkolwiek postaci, stanowić całość artystyczną, nie mniejszą wszakże, niż 500 wierszy. Może on więc być poematem lirycznym, opisowym, fantastycznym itd.

2) Co do treści: Wybór jej nie podlega ograniczeniu, z tem tylko zastrzeżeniem, że wątek powinien być swojski.

3) Utwory przedtem drukowane są wyłączone z konkursu.

4) Rękopisy nadsyłane być winny do redakcyi *Prawdy*.

5) Do rękopisu powinna być dołączona zamknięta koperta z jego tytułem i godłem, zawierająca nazwisko autora.

6) Utwór nagrodzony pozostaje własnością autora.

Nagroda 500 rubli.

POLITYKA.

DUŻO HAŁASU O NIC.

Wierzyć się nie chciało, aż do d. 14 b. m., że spór między rezydentami państw cywilizacyi europejskiej na Samoa o króla tego wyspozbioru wyrwie z ust, jeżeli nie z piersi, ministra wielkiego mocarstwa okrzyk, brzmiący jak groźba wojenna na przypadek odrzucenia propozycyj przez to mocarstwo czynionych; a jednak uwierzyć trzeba po tem, co wiemy o wystąpieniu p. Bülowa w dniu powyższym w sejmie cesarstwa niemieckiego. Wprawdzie podkanclerzy niemiecki nazwał wojnę o króla samoańskiego, o Samoę samą, potwornością, niemniej jednak potworność tę na widnokręgu wskazał, i byłoby do tej potworności przyszło, gdyby Niemcy z Anglią i Ameryką nie zdołały się były porozumieć. Powiedziane to było łagodnie, wypunktowanemi tylko myślami, ale rzeczywiście w mowie się znalazło i jak podobało się niezmiernie Niemcom, tak znowu po za Niemcami słuszny obudziło podziw. Z odpowiedzi ministra na interpelacyę Lehra, z posiedzenia całego, zrobiono uroczyste nabożeństwo: cisza zapanowała wielka, gdy Pytya otwierała usta, a gdy już z nich wyrzuciła wyrocznię, potoki zadowolenia zalały całą Izbę. Dawno już sejm niemiecki nie był przejęty taką jednością, taki karny w sobie i zgodny. Nawet Richter szedł z Levetzovem, gdy trzeba było skarcić nieprzyzwoity w takiej uroczystości nastrój wyjaśnień danych Izbie przez interpelanta. Nawet demokraci socyalni opowiedzieli się przy chorągwi niemieckiej, przez p. Bülowa arcy-patryotycznie zatkniętej.

Jest zatem spór między Niemcami z jednej strony, a Anglią i Stanami Zjednoczonemi z drugiej. Co go wywołuje? Król wysp Samoa. O osobę to i prawo królewskie toczy się ta wojna dyplomatyczna, po której dopiero pokój ma zażegnać wojnę orężną. Czem jest, czem być może król wysp Samoa? niech powiedzą samo wyspy. Jest ich kilkadziesiąt, z tych pięć lub sześć większych, wszystkie wulkanicznego pochodzenia, o ogólnym obszarze *pięćdziesięciu* mil kwadratowych geograficznych, w czem niema nawet połowy gruntów urodzajnych. Wszystka ludność tych wysp nie wynosi nawet czterdziestu tysięcy. Europejczyków jest może pięciuset, Polinezyjczyków z innych wyspozbiorow do tysiąca. Przywóz przedstawia wartość 2 milionów franków na cały rok, wywóz ok. 1,200,000 fr.; z pierwszego na Niemców przypada połowa, z drugiego dwie trzecie, nawet nieco więcej. Niemcy też wnoszą najwięcej opłat handlowych, blizko 62 na 100. I niemiecka też marynarka największą okazuje ruchliwość; nawet obca bandera służy interesom niemieckim. Rzecz prosta, że i wśród przybyszów żywioł teutoński przeważa. Niemcy najsilniej wrośli w grunt samoański, najwięcej się krzątają, najgłośniej krzyczą, a gdy im kto inny w drogę wejdzie, biadają i jęczą — i zaciskają pięści. Powiedzieli sobie, że wyspy muszą należeć do nich, to też memoryał, który ułożyli w lutym roku bieżącego dla rządu cesarstwa niemieckiego, wyraźnie potępia wszelką myśl podziału Samoy między trzech jej przyjaciół. Niemcy chcą mieć wszystko.

Już w r. 1886 handlowe interesa swoje zespolili z interesami dynastyi Matafy, nienawistnej dynastyi Malietoy, jeżeli o dynastyach na takiem mizeractwie jak te wyspy, Upulu, Sawaii, Tutuila, główne ogniska życia, wytwórczości ekonomicznej i ruchu handlowego, mówić wolno. Jak się to zespolenie dokonało? Tajemnica. Fantazya i kaprys rezydenta, który jest zarazem spekulantem, odbiorcą i sprzedawcą mogły rzucić kości. Może dynastya Matafy rozporządzała lepszemi, łatwiej wydrzeć się dającymi gruntami pod plantacye kawy lub bawełny, może dynastya Malietoy wolała kupować od Anglików, niż od Niemców. Może wreszcie kobiety jednej dynastyi są jędrniejsze od kobiet drugiej — bo pamięć o panu Leiście z Kamerunu wszystkiego domniemywać się pozwala. Z tych lub owych powodów Niemcy nienawidzili Malietoy, popierali Matafę. Pierwsza dynastya była starodawną. Kiedy wyszły z niej król Talaivu w r. 1880 przeniósł się do lepszego świata, syn jego Melietoa Laupepa miał kilka lat panowania zatrutych

przez Niemców, którzy wreszcie w r. 1887 porwali go do Kamerunu, później, wskutek oporu Anglii i Stanów Zjednoczonych przewieźli na wyspy Marshalla, a po traktacie berlińskim, d. 14 czerwca 1889 r., ustalającym *condominium* na archipelagu, przywieźli z powrotem do Apii, stolicy samoańskiej, i wespół z obu państwami współzawodniczącemi uznali go ponownie za króla. I oto ten król na początku roku bieżącego zmarł. Ludność, trzymając się dynastyi, wybrała na następcę po nim szesnastoletniego Malietoę Tanu produkt cywilizacyi amerykańskiej, z zewnątrz ubranego we frak i kapelusz, z wewnątrz — w protestantyzm i *business*. Chambers, najwyższy sędzia, wybór zatwierdził, ale Rose, rezydent niemiecki, wywlókł Matafę, dawniejszego współzawodnika Laupepy. Bombardowano Apię, zburzono część pobrzeża. Zapaliły się głowy w Berlinie, p. Bulow musiał aż wymówić straszliwe słowo „wojna.“ Ostatecznie zgodzono się na nadzwyczajnych komisarzy i nadzwyczajne rządy — jednomyślne! Po tej jednomyślności spodziewać się można tylko zupełnego zatamowania spraw bieżących i większego niż obecnie rozdarcia. Ale wojny nie będzie. Polityka pokazuje tylko, że może być jak kobieta hysteryczną.

Tydzień polityczny. Dnia 11 b. m. wymieniono w Waszyngtonie tekst ostateczny traktatu pokoju między St. Zjednoczonymi a Hiszpanią, w której imieniu występował Cambon, poseł francuski, pośrednik w przedugodziu. Jednocześnie Hiszpania dostała 20 mil. dol. za Filipiny. Na tych wyspach zwrot ku pokojowi. Amerykanie zamknęli się w Manili; Filipińczycy rokują z nimi o wspólne pożycie: chcą już nie udzielności zupełnej, ale samorządu, podziału urzędów, najwyższe zostawiając pogromcom Hiszpanów. Pora deszczów sprzyja zapędom pokojowym. Amerykanie mają jeszcze do spełnienia jeden obowiązek traktatu: powinni wydać Hiszpanom jeńców, zatrzymywanych przez wyspiarzy; ale zdaje się, że ciężar ten spadnie na samą Hiszpanię: już oficerowie hiszpańscy udali się do Aguinalda, z amerykańskim tylko listem żelaznym.

W Hiszpanii samej w niedzielę wybory do kortezów dały ze 230 stronników, różnych kategoryj, rządowi; sojusze dawać będą stałą większość. Zmniejszenie armii, zaoszczędzenie wydatków, tak proste, tak ułatwione przez samo zmniejszenie się obszaru państwowego o 8,000 mil kwadratowych, w krainie Cyda jest wielkiem zagadnieniem, nad którem politycy łamią sobie głowy. Żaden kraj na świecie nie ma tylu generałów, co ta biedna Hiszpania. Są to dawni rycerze, *caballeros* — w życiu, w obyczaju narodowym niezbędni. Rząd, potrzebujący głosów po za armią, a serc w armii, lęka się uderzyć w mrowisko. Biedny kraj, prawdziwie biedny, bo mierzący swej biedy, swej niemocy, przytłaczany formą wielkości, na którą nie ma już ani sił, ani zasobów, chłostany ciemnotą i nałogami średniowiecznymi, które nie pozwalają mu przetworzyć się i do życia w nowoczesności uzdolnić.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KAPITAŁY ZAGRANICZNE

Pewne grupy przemysłowców i ich rzecznicy — organy prasy, wszczęli w ostatnich czasach gwałt z powodu coraz większego wpływu kapitałów zagranicznych do państwa rosyjskiego. Alarmy te poparł swoimi wywodami pewien komitet giełdowy, twierdząc, że zagarnięcie przyrodzonych bogactw w obrębie tak rozległego państwa przez kapitalistów zagranicznych, wytwarza zależność ekonomiczną, która paraliżuje w znacznej mierze wyniki polityki opiekuńczej. Z tego powodu kupiectwo postanowiło starać się o środki prawodawcze, przeciwdziałające napływowi kapitałów obcych.

Wszystkie te jednak zabiegi, utyskiwania i alarmy dostatecznie chyba uciszy decydujący głos p. ministra skarbu, Wittego, wypowiedziany niedawno podczas obrad komisyi zbożowej w Petersburgu. Oto jest pogląd ministra na system opiekuńczy: „Ze stanowiska ogólno-państwowego, protekcyonizm dąży do uwolnienia gospodarstwa narodowego od zależności pracy obcej i rynków obcych, podnosząc kraj do poziomu samodzielnej jednostki gospodarczej. Jak każdy środek, tak samo i system opiekuńczy powinien mieć tymczasowe tylko znaczenie, póki nie osiągnie celu, dla którego jest ustanowiony. Z chwilą stworzenia potężnego przemysłu w kraju, z powstaniem silnej konkurencyi wewnętrznej, musi nastąpić naturalna śmierć protekcyonizmu. Czyż można się dziwić, że dla wielu ludzi interesowanych byłoby pożądanem utrwalić ten środek tymczasowy i nadal korzystać z jego dobrodziejstw? Ci, co zasiedli przy „sutym stole,“ chcieliby oddalić nadejście gorszych czasów dla nich, lecz lepszych — dla całego państwa. Oto przyczyna niezadowolenia z przypływu kapitałów zagranicznych, które wywołują zniżkę cen i zmniejszenie zarobków przemysłowych. Czasem te interesy osobiste występują pod oszukańczym płaszczem patryotycznym, mówi się o „rabowaniu bogactw naturalnych ziemi ojczystej,“ o „trzymaniu narodu w niewoli cudzoziemców...“

„Opieka — to rodzaj szkoły dla przemysłu młodego. Już dzisiaj, dzięki temu systemowi, osiągnięto pomyślne wyniki. Wiele gałęzi przemysłu weszło na drogę postępu. System opiekuńczy spada jednak swym wielkim ciężarem prawie na wszystkie warstwy ludności. Za wszystko, co jest otoczone opieką celną, trzeba zapłacić drożej. Jest to główny i zupełnie usprawiedliwiony zarzut przeciwko protekcyonizmowi. Ale dlatego właśnie trzeba się starać przebyć jak najspieszniej okres owej lekcyi szkolnej, azeby zbliżyć się szybko do celu.“

Konieczność przyciągania kapitałów zagranicznych do przemysłu krajowego p. minister tłomaczy w ten sposób: Kapitałów własnych ludność państwa nie posiada w dostatecznej ilości. Gdzieś głęboko ukryte, bez względu na możność korzyst-

U SCHYŁKU.

Chory. Ten, którýby mi życie wrócił, przyszedłby w wężach błyskawic, w ryku burzy, w szeroko rozciągniętych dymach pożarów: przyszedłby z ogniem pomsty w jarzących się źrenicach i z nożem okrwawionym w dłoni. Nie będzie miał litości nade mną — O, nie przebaczy żadnemu z moich zwichnięć! Wywleczonego z posłania podepcze zwycięzkiemi stopami — nie poskąpi urągowiska, ani wzgardy. Nie jemu zmierzyć głębię moich tęsknot, nie jemu przejrzeć tkaninę moich uczuć. Przeniknie tylko moją nędzę i moją słabość — a ten bóg hartu i czynu nie znajdzie dla mnie nic, prócz potępienia. A jednak — później wsłuchiwać się pocznie w pieśń — w pieśń nieśmiertelności, którą duch mój wśród męczarni snuć będzie z siebie. Wsłuchiwać się pocznie i wreszcie klęknie przede mną. Przed tą nutą nieśmiertelności, płynącą z mych piersi, przed glorya mojego bólu ukorzy się. I wówczas to powie: „Jesteś przędzą świata: jesteś w błękitach rozkołysaną nicią pajęczą, która zarówno czepia się wyniosłej topoli, jak ściele się po ścierniskach przyziemnych i zawiera na słupach drogowskazów. Jesteś nerwem świata, po którym spływa na nas i promień słoneczny, i cicha łza wieczornej rosy, i prąd piorunowy. Żyć musisz, bo żyłeś zawsze — w jakiejbądź formie przychodzisz do nas...“ I wówczas, ów tytan płomienia i czynu uzdrowi mnie. *(Z zaognionemi nagle oczyma)*. A teraz podaj mi rękę, bo oto zdaje mi się, że nadchodzi. Słyszę — zdaleka jego kroki...

Alma. Ja — nic.

Chory. Słuch masz dla bliskich spraw, ja dla dalekich. Wyraźnie słyszę, jak się zbliża. Czy nie czujesz? *(siada na pościeli i wodzi dokoła przerażonym wzrokiem)*. Almo, czy nic zgoła nie czujesz? Toż ziemia drży pod jego stopami... Wstrzęsła się — ściany wirują dokoła naszej głowy! Patrz — patrz! tam pękł mur, zarysował się od stropu do ziemi i wnet runie! Jaki huk, straszny, głuchy!... Ach zbliża się. — Zgaście świece przed obrazem, bo on chwieje się na drgającym murze. Zasłoń go — mówię — zasłoń! Wiruje, wiruje wszystko... Co to? Brzękły szyby? Huragan się wdziera — wlatuje piasek, kamienie, suche liście kręcą się, szeleszczą. Patrz, patrz! gasną na ołtarzu świece — jedna po drugiej. Z ołtarza leci krzyż — czarny, spiżowy i pęka na dwoje... Kto to krzyknął? Zerwał się wieniec róż — krwawe listki wirują na wietrze — Cicho! Dziecko kwili, jęczy, oczkami zawraca, trupie, żółte rączki podnoszą się z za ołtarza. — Ach, zabierzcie ten gasnący trupek.. proszę was, zabierzcie! Wrzućcie go w dół z innymi — z gasnącymi... Słyszysz? Jękły cmentarne dzwony. — Na trwogę zahuczał dzwon! — Zbliża się, zbliża... Boże, czyż niema ujścia? Prędzej, daj rękę! Idźmy, lećmy! Almo, daj rękę... *(zrywa się z pościeli, Alma podtrzymuje go oburącz)*.

Alma! Matko! prędzej, na Boga! Pójdźcie tu! Kto tam jest? Matko!

(Wpadają: matka, niańka i kilku służących).

Matka. Więc już — już? O, Boże miłosierny!

(Słudzy starają się opanować chorego).

Matka. Zwolna! Ostrożnie! Nie ściskajcie go tak mocno.

Chory *(szarpiąc się)*. Puśćcie mnie! Rozwiążcie mi ręce! Śmiecie mnie więzić, wy — niewolnicy? Precz! Wolnym chcę być!! *(Roztrąca wszystkich, wyrywa się i chce biedz; słudzy owładają nim znowu, kładą go na łóżku i przytrzymują za ramiona)*.

Chory *(leży chwilę wyczerpany, a potem zcicha, z jękiem, zawsze nieprzytomnie)*. Związali mnie... Skuli mi ręce... Chcą, abym znowu był niedołężny, jak skatowany starzec. Litości nade mną nie macie! Popatrzcie na mnie — czyż nie przerazi was moja twarz w męczarni skurczona? Ach katują... Związali ręce a teraz mózg żarzewiem mi wypalają. — Czuję ołów płonący, kroplami kapie w mózg, wwierca się do dna — do dna.

nej lokaty, pozostają unieruchomione i nie prędko można będzie je wyciągnąć na światło dzienne. A więc trzeba korzystać w jak najszerszych granicach z kapitałów obcych, bo taką tylko drogą dojść można do udoskonalenia technicznego. Prawda, że pomoc zagraniczna nie jest tania, ale to właśnie przyspiesza jej dopływ do państwa rosyjskiego. Z drugiej strony prosty rachunek wykazuje wyższość przypływu kapitałów zagranicznych nad przywozem wyrobów obcych. Nie może być wątpliwem, co jest dogodniejsze dla kraju: czy przywożenie obcego towaru, za które oddaje się zagranicy setki milionów rubli rocznie, czy też jednorazowe wtargnięcie kapitału, owego narzędzia śmiercionośnego dla dowozu towarów zagranicznych i za pomocą tego narzędzia organizowanie wytwórczości u siebie w domu, a w rezultacie — 90% wartości towaru na własną korzyść.

„Protekcyonizm dla urzeczywistnienia swych celów wymaga szerokiego dopływu kapitałów do przemysłu, co należy popierać wszelkimi środkami, jakkolwiek nie jest to jedyna droga. Nadto potrzebna jest pomoc szkołom technicznym, usunięcie ograniczenia inicyatywy w przemyśle i poprawienie warunków pracy."

Taki pogląd ministra, wypowiedziany otwarcie i publicznie, odrazu rozstrzyga doniosłą kwestyę ekonomiczną i stawia ją na gruncie pewnym, na którym muszą ustać wszelkie spory i zabiegi jednostek lub grup interesowanych. Pobłażliwość dla kapitałów obcych nie jest bynajmniej nowym zwrotem w polityce ekonomicznej państwa rosyjskiego. Pierwszy Piotr Wielki, pomimo protestów i utyskiwań, otworzył tamę, bacznie strzeżoną przez różnych przemysłowców krajowych i wpuścił olbrzymie strumienie sum obcych, które poruszyły liczne koła produkcyi, wprowadziły technikę udoskonaloną i stworzyły nowe gałęzie przemysłu.

Na zalew kraju przemysłem obcym uskarżają się i w Królestwie oddawna, a obecnie jeszcze bardziej, niż kiedykolwiek. O ile przemysł obcy wprowadza nietylko kapitały, lecz i swoje siły zawodowe, dzieje się istotnie krzywda miejscowym fachowcom, tak dalece, że już ta sprawa była poruszana w wyższych sferach prawodawczych.

O ile wszakże siły zagraniczne tworzą u nas nowe gałęzie produkcyi, udoskonalają technikę, wpływają z jednej strony na podniesienie zarobków mas ludności, a z drugiej dają dla ogółu tani i dobry towar — przypływ ten jest bardzo pożądany. Niech sobie płaczą przedsiębiorcy i kapitaliści miejscowi, niech płaczą nad własnem niedołęstwem i tchórzostwem. My zaś ze stanowiska potrzeb ogółu uważamy za bardzo pomyślny obecnie nowy napływ kapitałów zagranicznych, którego celem ma być udzielanie taniego kredytu na budowę domów w miastach i na inne przedsiębiorstwa. Dotychczas skutkiem unieruchomienia i martwoty kapitałów miejscowych, stopa procentowa jest u nas wogóle bardzo wysoką, co oczywiście utrudnia rozwój nowych gałęzi przemysłu i budowę domów z taniemi mieszkaniami. Za granicą zaś obfitość, a więc i podaż gotówki tak jest wielka, że procenty doszły do minimalnych granic. Dlatego tam, jeżeli powstaje nowe na wielką skalę przedsiębiorstwo, choćby najbardziej ryzykowne, lecz obiecujące przynajmniej 5% dywidendy, natychmiast płyną drobne i duże sumy, przedsiębiorstwo odrazu wytryska wielkiem, ożywczem źródłem produkcyi. Tymczasem u nas taka nieufność, takie tchórzostwo i bezwład panuje, że nawet bardzo pewne, bez ryzyka przedsiębiorstwa, obiecujące 12—20% dywidendy, częstokroć nie mogą powstać z braku kapitału. To też skoro zagranica uważniej się przyjrzała naszym stosunkom, zaczęła wysyłać tutaj swoje zbywające kapitały.

Sprawiedliwość każe nam zastrzedz, że jeszcze inna przyczyna stoi na przeszkodzie rozwojowi wielkich przedsiębiorstw w formie akcyjnej, złożonych z żywiołu czysto krajowego i jego kapitału. Stoi tu mianowicie na przeszkodzie zawiła procedura, oraz przestarzałe prawodawstwo o towarzystwach akcyjnych i giełdowych. Wprawdzie były już liczne projekty, a między innymi jeden sławny, opracowany przez prof. Cytowicza, który wprost nie dopuszcza utworzenia towarzystwa akcyjnego przy powstawaniu przedsiębiorstwa. *Nowosti* scharakteryzowały niedawno skutki, jakieby spowodowało prawo, wprowadzone w życie według wskazówek powyższego profesora. „Zbudowanie kanału Sueskiego np., według projektu p. Cytowicza, należałoby urzeczywistnić w sposób następujący: Przedewszystkiem kilku kapitalistów musiałoby wyszukać śród swoich dobrych znajomych odpowiednie kapitały, zbudować kanał i przystąpić do jego eksploatacyi. Dopiero po upływie pewnego terminu władze, przekonane o użyteczności przedsiębiorstwa, pozwoliłyby zamienić je na towarzystwo akcyjne i dopuściłyby jego akcye na giełdę. Śmiało twierdzić można, że w takich warunkach kanał Sueski nigdy z dziedziny projektów nie przeszedłby do rzeczywistości."

Z powodu przepisów, niezgodnych z istotnemi wymaganiami życia, warunki współzawodnictwa między przedsiębiorstwami krajowemi i zagranicznemi są nierównomierne, z wszelkich bowiem przywilejów korzystają obcokrajowcy. Wynika to stąd, że cudzoziemcy, pragnąc stworzyć towarzystwo akcyjne, mogą bardzo szybko załatwić wszystkie formalności. Przedsiębiorstwa zagraniczne przy pomocy giełdy łatwo znajdują dla siebie kapitały, gdy krajowcy mogą korzystać w tym celu tylko z kredytu bankowego, płacąc znaczne procenty, nadto mają dużo kłopotu z realizacyą kapitału, muszą przynajmniej rok przechodzić przez długą i kosztowną procedurę. Tem się tłomaczy owe zjawisko charakterystyczne, że kapitaliści krajowi,

---

Matka *(z jękiem przypada do łóżka).* Dziecko jedyne, jak ci pomódz? Powiedz, jak cię ratować?

Alma *(pochyla się nad nim).* Kochanku słodki, nieszczęśliwy — czy nie ochładza moja dłoń twego rozpalonego czoła? Spójrz na mnie — zawołaj mnie! Czy nie czujesz pocałunku mego na swych oczach?

Chory. Czyjaś łza upadła i spływa mi po twarzy — ciężka, gorąca. Czy to wy płaczecie? O, znam te ciężkie, rozpalone krople — przez lat tyle na piersi mi spadają. Czemże wam pomogę? Widzicie — jam słaby, skrępowany. Oglądałem rany wasze, zmierzyłem ich głębię, stwierdziłem ich gorączkę — cierpcie, konajcie tu, w oczach moich — będę codzień patrzył na was, będę żył w waszych męczarniach.— Bo nie mogę nic! bo nie znam nic! Och, jak ten nóż w piersiach boli... Ostrożniej nie trąccie!... Jak boli — jak boli...

Matka *(zbliżając mu kubek do ust).* Wargi twe wyschły; wypij nieco tego napoju... Och, ty męczenniku!

Chory *(usuwając jej rękę).* Nie trzeba... Będę cierpiał — innego nic nie mogę, nic nie umiem.

Matka *(do Almy).* Możeby posłać do młodego lekarza? Mówił, że przyjdzie, jeśli go wezwiemy.

Alma. Tak mówił? Czegóż więc czekamy. Chłopcze, skocz prędzej do tej bramy naprzeciw...

Matka. Stój! A jeśli... Czy ty mu wierzysz? A jeśli zamiast ratunku. —

Alma. Ten młody, co był tu przy mnie wczoraj? Ten, z tą twarzą zuchwałą i wejrzeniem jak z ognia? Wierzę mu. To siła i młodość.

Matka. Ach, sama już nie wiem. Więc niech przyjdzie. *(Chłopak odchodzi).* Stój! *(do Almy).* Wierzysz?

Alma. To młodość i siła. Wierzę.

Matka *(do chłopca).* Więc idź. Proś tego młodego lekarza — wiesz? Niech przyjdzie. Powiesz: syn pani bardzo cierpi. Albo nie! Przyprowadź go tu sam — zaraz! Nie daj mu nigdzie odejść. Weź go za rękę i prowadź wprost do nas. Leć, nie trać ani chwili *(chłopak wybiega).*

Matka *(do sług).* Oddalcie się, już nie trzeba; bądźcie cichy *(słudzy odchodzą na palcach).*

Chory. Sklepienie waszego więzienia wiekiem trumny mnie gniecie. Ach, sam tu jestem — rozpacz tylko ze mną i ból — i ból... Matko, gdzież ty jesteś? Daj mi rękę — tak ciemno, tak trwożnie...

Matka. Przy tobie jestem, synku, z tobą jestem.

Chory *(usuwając jej ręce).* Puśćcie mnie! Ja matki mojej szukam. Jakżeś ty daleko, mamo! Jakżeś ty daleko na tem wysokiem wzgórzu... Pozwól — chciałbym objąć twoje nogi — ukryć twarz w twojem objęciu. Mamo, mamo! Daremnie wołam—ty idziesz dalej i dalej po swem zielonem wybrzeżu— a ja tu sam, bez cienia, bez gwiazd — bez ciebie...

Matka. O Boże! Gdzież bawią tak długo? Niańko, uchyl drzwi, zobacz, czy nie nadchodzi lekarz?

Niańka *(zaglądając przeze drzwi).* Nie, to tylko wiatr tak huczy; zdaje się burza będzie.

Chory. Odeszła odemnie. Odeszło z nią wszystko. Perła po perle zsunęły się wszystkie z łańcucha starych prawd: w ręku sznur gruby tylko pozostał. Szumią trawy stepu, szumią sfalowane falisto głowy, wiatr dzwoni w łupki nasion, lecą puchy kwietne, lecą szemrząc cichutko: „błogosławieni cisi, błogosławieni miłosierni!" Powiew lekki w kręgi rozpłynione je roztacza i gna w dal niedosięgłą, bladą. — „Błogosławieni miłosierni, błogosławieni cisi..." Szybkim, mocnym krokiem, w przestrzeń bezbrzeżnych pustyń odchodzi apostoł. Czerwień zachodu łuną twarz mu oświeca i płonące oczy wpatrzone w blaski zachodu. Wiatr miota włosy siwe, targa fałdami szaty, przysypuje gorącym piaskiem ślady jego bosych nóg. Z gniewną, smutną twarzą odchodzi od nas apostoł w dal, w pustynię, w purpurę zachodzących blasków — a za nim leci wiew i płynie miękką falą w powietrzu: „błogosławieni cisi, błogosławieni miłosierni." Płynie szmer wonną falą w dal bezbrzeżną, nie-

ażeby uniknąć tej procedury kosztownej, zawiązują towarzystwa za granicą i dopiero potem przenoszą ich filie do kraju.

Na taki nienormalny i niepożądany stan rzeczy zwróciły już uwagę sfery prawodawcze i postanowiły nareszcie przeprowadzić reformy w duchu potrzeb istotnych. Jeżeli tedy reforma taka przyjdzie do skutku — ułatwi krajowcom zawiązywanie przedsiębiorstw akcyjnych. Niech one wtedy będą zasilane jak najobficiej przez kapitały zagraniczne. Kraj na tem zyska niewątpliwie dużo.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Odpowiedź ministra oświaty na memoryał duchowieństwa górnoszlązkiego. — Polityka prowokacyjna i jej przeciwnicy. — Środki kulturalne. — Łatwe sposoby zdobycia zaufania Polaków. — Biblioteka i koń trojański.

W poprzedniej kronice, pisząc o petycyi duchowieństwa górnoszlązkiego do ministra oświaty, Bossego, w sprawie zaprowadzenia języka polskiego w nauce religii, wypowiedzieliśmy z góry swoje przekonanie, że ta prośba nie będzie wcale przyjęta. Jakoż sprawdziła się nasza przepowiednia. Oto odpowiedź ministra:

„Wywody w petycyi ze stycznia r. b. skłoniły mię do ponownego dokładnego zbadania istniejących przepisów co do używania języków niemieckiego i polskiego w szkołach ludowych w obwodzie regencyi opolskiej. Wynik tego badania wypadł pod każdym względem na rzecz niezmiennego utrzymania od lat 27 skutecznie stosowanych przepisów.

Mianowicie zarządzone badania wykazały, że szkoła i w nauce religii dla młodzieży górnoszląkiej, mówiącej po polsku, zupełnie i wszędzie tam cel swój osiąga, gdzie nauczyciel gorliwie i zręcznie wypełnia owe przepisy. Najpomyślniejsze są wyniki nauki religii tam, gdzie duchowni chętnie i rozumnie popierają starania administracyi szkolnej w tej dziedzinie. Uznaję, że liczni duchowni na Górnym Szlązku zdala się trzymają od wniesionej i tam polskiej, a więc wrogiej państwu agitacyi. Jest jednak ubolewania godnym błędem, jeżeli się sądzi, że tamtejszy ruch ma tendencye czysto językowe. Języka używają tam często (vielfach) jako płaszczyka dla zakrycia zgubnych dążności anti-niemieckich. Wszelka więc nowość administracyi szkolnej w dziedzinie językowej byłaby wyzyskiwaną do popierania agitacyi narodowo-polskiej i nadużywanoby jej tem skuteczniej. że nie ma rzeczowego powodu do niezadowolenia z zarządzonych w dziedzinie szkolnej przepisów językowych. Rząd nie jest wrogo usposobiony dla prywatnego używania miejscowego *idyomu* polskiego. Nie jest jednak zadaniem szkoły ludowej w cesarstwie niemieckiem i państwie pruskiem szczególne pielęgnowanie obcego języka, lecz tylko języka krajowgo (vaterländische), niezbędnego dla każdego Niemca. Zresztą nie zgadzają się z prawdą przemisy, na których podstawie archipresbyteryat oparł swoje wnioski. Nowych przepisów o języku wykładowym w dwujęzykowych szkołach Prus Wschodnich wcale nie wydałem. W tych warunkach niema żadnego powodu (liegt kein Anlass vor) do zmieniania istniejących przepisów o języku wykładowym w szkołach ludowych w obwodzie regencyi opolskiej.“

A jednak nie brak i dziś jeszcze naiwnych. którzy wyobrażają sobie, że mogą wybłagać jakieś ulgi, pomimo tylu już doznanych zawodow i poniżeń. Czas byłoby już trochę się otrzeźwić w tej mierze, zwłaszcza, że niema prawie tygodnia, ażeby na głowę wierzących w lepszą przyszłość i harmonię z żywiołem niemieckim nie wylano kubła zimnej wody. Hakatyści, którzy mają nieprzebrane krynice takiej wody, postanowili swoją politykę spotęgować jeszcze za pomocą natrysków gorących. Oto niejaki p. Wendland w miesięczniku niemieckim *Kynast* odsłania programy i zamiary towarzystwa germanizacyi:

„Nie wątpię ani chwili, że gdyby rząd zdecydował się na politykę rzeczywiście szkodliwą dla polskości, ludność polska przy namiętnej gwałtowności swego temperamentu, porwałaby się do obrony czynnej. Możnaby namiętności podżegać dopóty, aż ostatecznie mimowoli porwanoby się do głupstwa powstańczego. Skoroby zaś przyszło do walki i rozlewu krwi, to po stronie niemieckiej już nie byłoby wątpliwości, czy zaprowadzić takie ograniczenia swobody polskiej, jakie są potrzebne do ciągłego postępu polityki germanizacyjnej.“

Tak więc najniezawodniejszym i najprędzej prowadzącym do celu systemem ma być gwałt, któryby zmusił ludność polską do wybuchu rozpaczy i tym sposobem dał Niemcom pretekst do tępienia nienawistnego im narodu, za pomocą siły zbrojnej. Taką właśnie politykę prowokacyjną hakatyści prowadzą od dawna, ale z nierównem napięciem. Dotychczas wszelkie usiłowania w tej mierze zawiodły, ale jeszcze nie odebrały nadziei wywołania oporu za pomocą gwałtów i ucisków coraz większych. Nie jest to wszakże w interesie wszystkich organów państwa i jego militaryzmu, skoro jeden z oficerów w ten sposób wyraził swój protest (w *Germanii*) przeciwko nieustannemu drażnieniu ludności polskiej: „Śmiem twierdzić, że hakatyzm jest najzgubniejszym rodzajem rządu pobocznego, jaki tylko można sobie wyobrażać. Mam nadzieję, że z czasem rząd przyjdzie do tego samego przekonania i postara się o to, ażeby sprawiedliwość była prawem. Starzy juryści, z którymi przez wiele lat w Poznaniu utrzymywałem stosunki, przewróciliby się w grobie, gdyby widzieli tę robotę hakatystów. Niestety, z grobu już oni nie wstaną. Wierzę jednak, że sędziowie wogóle będą postępowali według dawnych wzorów, a wydawane przez nich wyroki będą zgodne ściśle z prawem, obowiązkiem i sumieniem, bez względu na osobę.“

Płonna to jednak wiara. Liczne przykłady aż nadto dowodzą, jak sądy niemieckie są stronne i jak głęboko przesiąknięte duchem hakatyzmu. Dość tylko powołać się na procesy prasowe.

Już w jednej z kronik poprzednich wspominałem o środku wzmocnienia niemczyzny i kultury niemieckiej w Poznaniu za pomocą założenia muzeum i biblioteki publicznej na szeroką skalę. Projekt zatwierdzono w sejmie pruskim jako prawo obowiązujące. Posłowie polscy głosowali przeciw wyznaczaniu funduszu na owe instytucye, wychodząc z zasady, że środki skarbu, na które składa się cała ludność opodatkowana, nie mogą być szafowane dowolnie, nierównomiernie, w interesie jednej tylko jakiejś części ze szkodą drugiej. Tymczasem wbrew przekonaniu i dążeniom posłów zachowano się niedawno w prowincyonalnym sejmie poznańskim, od którego

---

powrotną... Skąd? gdzie? Kto to jęknął w tej purpurowej ciszy? Ach, tu, nad głową moją, nad falami zielonych traw w bladem niebie kołysze się smutny szmer żórawi i płynie na zachód. Ciągnie on za głową apostoła w krwawe szlaki słoneczne, za światłem lecą ptaki niebieskie, słychać szelest ich skrzydeł, żałosne kwilenia. Lecą w świetle słońca wykąpać swe skrzydła — lecz noc ich doścignie: lecą wolnem tchnieniem stepowem napełnić piersi — a trafią w próżnię. Sieroce sługi apostoła ciągną tęskną drogą w ślad za nim, a on zginie, on zginie im z przed oczu! Ptaki, niebieskie ptaki, goście błękitu, nie minie was kula śmierci, nie ujdziecie sidła przeznaczeń... Odeszły w przestrzeń, szemrząc rozpłynęły się słowa: „błogosławieni cisi, błogosławieni miłosierni.“ Odszedł apostoł, w pustynię, bezbrzeżną, niepowrotną dal...

Niańka. O, Panie, miłosierdzie Twoje niech czuwa nad nami..

Chory. Jak mi ciężko! Jakaś płyta legła mi na piersiach i tak gniecie, tak gniecie... Dlaczego przykryliście mi twarz tą czarną zasłoną. Matko, proszę cię, zdejm mi ją z oczu. Ach nie, nie zdjęłaś! Coraz mocniej przylega mi do twarzy, nie widzę nic — tak mi duszno.

Matka. Podnieś powieki, najdroższy, staraj się oczy otworzyć.

Chory. Nie mogę. Mam zasłonę na oczach, ciemną, ciężką płachtę. Chciałbym zobaczyć wasze twarze — i ciebie, i Almę. To mi ulży: upewniam was, będzie mi lżej, gdy na was popatrzę. Zdejmcież mi z oczu tę zasłonę!.. Nie słyszą. Nikt słyszeć mnie nie chce — nawet one, matka i narzeczona. Muszę tu leżeć, jak w grobie, czarnym, wilgotnym, i słuchać, jak płynie czas, jak kapie kroplami w wieczność.. A one poszły. Opuściły mnie. Jakbym nigdy tu nie żył, jakbym nigdy ich nie kochał.

Matka. Cicho, cicho, Almo, nie płacz tak rzewnie.

Chory *(podnosi się, patrzy przerażonemi oczyma w ciemną głąb pokoju i szepcze):* Przychodzisz? — Wracasz? — Znowu? Nie sytaś jeszcze mego mózgu, mojej krwi? — Och, ty straszna!... Chcesz widzieć jak tu konam, jak targam się bezsilny, chcesz jeszcze wzrokiem wyssać ostatnie tchnienia, które mi w piersiach grają. A potem siądziesz przy mnie i patrzeć będziesz, jak mi ciało gnijące od kości odpada... twym jadem zatrute, twoim ogniem zwęglone... Och, znowu — znowu!.. Zionęłaś mi na twarz oddechem i palisz mi czoło, usta! Czego chcesz ode mnie? Jam już trup — twój sługa... Wyciągasz ręce? Na rękach twoich będę konał? *(Rzuca się po pościeli).* Odejdź! Odejdź!! *(nagle zatrzymuje się i patrzy przenikliwie przed siebie).* Stój! Nie patrz tak strasznie temi czarnemi oczyma! Co mi chcesz niemi powiedzieć? Czemu twe usta zamknięte, a tylko oczy spoglądają we mnie, w moją głąb i palą? Stój! Czemu się oddalasz? Nie odchodź tak niema — nie chcę — ja nie chcę! Słyszysz? — Czemu się oddalasz, czemu opuszczasz mnie! Och, ty krwawa, ty straszna, ty piękna, o, bóstwo ty moje, ukochane! *(Wyciąga ręce).* Pójdź do mnie... Jam przez lat tyle w piersiach ciebie nosił, jam cię pieszczotą jak jedwabnik przędzą otulił, w niej zamknął, jam cię kołysał pieśnią moich snów — i tyś rosła krwią moją sycona, mózgiem mym karmiona... Jam cię posiadł, ty piękna, ty grzeszna, i rozpłynąłem się w tobie — o, morze żądz, o, bóstwo — kusicielko — ty, pani moja, ty, tworze mój... *(Szepcząc z wielką czułością).* Przyszłaś? Jesteś znów ze mną? Weź mię na ręce. — Obwiń mię puchem twoich smagłych ramion — cieplej, silniej, mięciej. — Tu, na me usta połóż purpurę twoich ust — i ssij mi duszę, do końca ssij! Patrz mi w oczy. Niech mam w nich miękki aksamit twoich źrenic — niech przed niemi drżą twoje przezroczyste, omdlałe powieki... Wpleć mi palce we włosy — chcę uczuć ich dreszcz... A teraz skonać pragnę w twym ręku.

(D. n.).

W. Dal.

uchwały również zależało ufundowanie powyższych instytucyj. Otóż w sejmie tym Polacy głosowali jednomyślnie z Niemcami.

Co wywołało taką sprzeczność zdań, takie rozdwojenie śród Polaków? Czy może prowincya polska oceniła z innego stanowiska nowe środki kultury niemieckiej i przyszła do przekonania, że przyniosą one Polakom większą korzyść, niż szkodę? — Nie!—Więc może to jakaś wyższa, subtelna polityka? — I to nie! Jest to zupełnie co innego. Część, jak zwykle bywa, głosowała bezmyślnie, część przez ostrożność, „ażeby się nie narażać opozycyą.“ Wreszcie część „uświadomionych“ — pod wpływem tej znamiennej cechy naszego narodu, która wywołuje złudzenia i nadzieje. Są to ci działacze, którzy sobie wyobrażają, że będąc żarliwymi rzecznikami spraw niemieckich, chociażby anti-polskich, wyjednają jakieś ulgi i zniszczą nienawiść plemienną.

Charakterystyczne stanowisko w tej sprawie zajął *Dziennik Poznański.* Oto jego zdanie:

„Nowy to dowód, jak łatwo, niekiedy zbyt łatwo zyskać zaufanie Polaków, jak małoznaczące i omylne słowa a obietnice niczem nieporęczone wpływają na sangwiniczne usposobienie nasze i nasze widoki optymistyczne. Dowód ten, zresztą dla nas niepotrzebny, regestrujemy tylko w aktach naszych, w danym razie do późniejszego użytku na obydwie strony. Tymczasem nie widzimy ani szczęścia, ani nieszczęścia w głosowaniu polskiem nad tą sprawą. Nie obiecujemy sobie po niem nic a nic dla ogółu, ale i to wyrozumieć potrafimy, że inne jest stanowisko Koła w sejmie, a inne garstki reprezentantów polskich w sejmie prowincyonalnym, nie zorganizowanych zresztą narodowo. Sejm prowincyonalny nie jest ciałem politycznem i dziwi nas, że wszystkie gazety wotum temu przywiązują znaczenie polityczne — oczywiście już dla siebie bijąc z niego kapitał. Jesteśmy przekonani, że gdyby sprawy polityczne roztrząsały się w sejmie stosownie do ogromnej większości opinii, byłoby zapadło zupełnie inne wotum. Dlatego radzimy nie mieszać dwóch rzeczy i nie upatrywać w wotum polskiem znaczenia politycznego, którego ono nie ma. Nie powinno ono w nas podnieść ani politycznej łatwowierności, ani rozgoryczyć tych, którzy jej nie posiadają lub jej się wyzbyli wśród najsmutniejszych doświadczeń. My przechodzimy nad wotum tem do porządku obrad i zupełnie nam ono nie zakłóci naszego spokoju, ani nas nie spowoduje do patrzenia na rzeczy inaczej, niż dotąd patrzyliśmy. Swoją drogą najmocniej podnosić będziemy głos nasz, żądający spełnienia „obietnic,“ jakie dali minister v. Miquel i radca ministeryalny, Althoff, obietnic zrozumianych szczerze i rzetelnie, a bez wybiegów, które nas tylokrotnie pozbawiają owocu nawet zakodyfikowanych i zaprzysiężonych praw. W tym wypadku żądać dziś musimy nietylko, żeby literatura polska równomiernie uwzględnioną została w bibliotece, ale żeby i urzędy w niej rozdane były wedle rzetelnego równouprawnienia.“

Tego „żądać musimy!“ Kto? — Ci, którzy mając prawo *legalnego protestu,* zgięli i osiodłali dobrowolnie swoje karki, ażeby na nich usiadła „kultura niemiecka“ i kłóła nieustannie ostrogami pod żebra te szkapy o końskich umysłach i zjeżdżonej energii starych chabet. Kultura niemiecka — to jeździec potężny i ciężki. Poznań daje na bibliotekę 100,000 marek, a na utrzymanie muzeum 5,000 marek stałego datku. Nadto miasto daje budynek miejski i musi wybudować nowy dom dla chorych. W ostatnich czasach Poznań już wydał *milion* marek na „cele kulturalne.“ Jest to zaiste hojna ofiara jak na miasto liczące 75,000 mieszkańców. Dodajmy, że udziela ono jeszcze zapomogi na szkolnictwo. Wszystko to byłoby bardzo piękne, gdyby nie szło na cele... germanizacyjne. Całe wzmacnianie kultury ku temu dąży. Prawda, że w pruskiej Izbie deputowanych wypowiedziano wiele frazesów bardzo pięknych, że mówiono o uwzględnieniu literatury polskiej, o „sprawiedliwem przeciwstawieniu.“ Ale to nie przeszkadza wcale wprowadzeniu w ruch wyłącznie narzędzi germanizacyjnych. O ile biblioteka i muzeum będą miały na względzie potrzeby inteligencyi, „kultura niemiecka“ może tylko wpłynąć na wzmocnienie kultury polskiej. O ile wszakże celem jej będą umysły mas — kultura niemiecka pójdzie swoją znaną drogą i użyje wszelkich środków walki z duchem i żywiołem polskim.

Teraz zobaczmy, jakie to są obietnice, których spełnienia żąda *Dziennik Poznański:* „Ks. Poznańskiemu nie można wyświadczyć większego dobrodziejstwa, jak przez to, jeżeli się pracuje nad podniesieniem stopnia wykształcenia ludności polskiej i niemieckiej we wszystkich dziedzinach, aby na tej drodze zdobyć porozumienie obu narodowości.“ W tym celu deputowany dr. Zehnhoff, adwokat koloński, żądał stworzenia instytutu hygienicznego. Inni zaś wyrazili życzenie, ażeby w połączeniu z biblioteką i muzeum stworzyć rodzaj akademii ludowej na wzór Humboldta w Berlinie. Muzeum ma przyjmować liczne zbiory przyrodnicze, które będą działały pouczająco na wszelkie koła ludności. P. Zehnhoff wyraził życzenie, ażeby przy wyborze i zestawieniu uwzględniano nietylko ludzi fachowych, ale także młodzież dorastającą i aby unikano wszystkiego, co może obrazić uczucia ludzkości. Obok tych zręcznych zastrzeżeń, wyłazi niezręcznie pchnięte szydło niemieckie: „Nie możemy osądzić, co rozumiano przez popieranie niemczyzny. Jeżeli uchwalimy tak wielkie sumy na bibliotekę (752,000 marek), do której książek nie zajrzymy wcale, natenczas podobni będziemy do nieszczęśliwych trojańczyków, którzy konia wciągnęli do miasta, nie zajrzawszy mu poprzednio do gardła.“

A więc w obawie tej wyraźnie tkwi myśl, że biblioteka ma być narzędziem germanizacyjnem. Byłaby zaś koniem trojańskim w takim wypadku, gdyby w niej nie dostrzeżono ukrytych Greków pod postacią książek polskich.

et.

IDEAŁ DOBRA

ze stanowiska hygieny ciała i duszy.

II.

Tak więc miłość rodziny wymaga koniecznie miłości kraju, czyli najbliższego nam społeczeństwa, miłość kraju rodzinnego warunkuje jedynie skutecznie pomyślność ukochanej przez nas rodziny. Rozumna wreszcie dbałość o samego siebie: wzmagająca naszą sprawność duchową i fizyczną, wzmacnia pożyteczną działalność naszą dla rodziny, wyzbycie się natomiast zupełne miłości samego siebie przynosi niewątpliwie uszczerbek przedewszystkiem miłości rodziny. Widzimy już z tego wszystkiego, że miłość ludzkości, miłość kraju rodzinnego, miłość rodziny własnej i wreszcie miłość samego siebie godzą się wzajemnie i wzajem się popierają. W jednym wszakże kierunku posiada człowiek przeciętny stanowczą dążność do przesady, a mianowicie w kierunku miłości własnej. Uczucie to, jako najbardziej pierwotne, z największej odziedziczone odległości, najbardziej człowiekowi jest wpojonem, najbardziej jest, że tak powiemy, uczuciem elementarnem. Stanowi ono silny popęd, który najłatwiej przed wszelkim procesem samopoznania przechodzi w czyn spełniony.

Egoizm najmniej podlega zmysłowi krytycznemu. Gdy się jednak bliżej nad nim zastanawiamy, przychodzimy do przekonania, że zbyt wielka powolność względem niego jest wysoce niebezpieczna. Fakt, że wyłączne posłuszeństwo wrodzonemu popędowi samozachowawczemu wychodzi człowiekowi na szkodę, dowodzi, że jak instynkt natura dała istotom niższym dla ich zachowania, tak człowiekowi obok instynktu rozum, którego wskazówki są przyrodzonym sterem ludzkiego życia i który każe nam badać, poznawać, budować gmach wiedzy. Nasze czyny, myśli, popędy i wreszcie uczucia winny być posłuszne naszemu poznaniu, poddawane surowej krytyce naszej oświeconej samowiedzy. Natchnienia egoizmu idą z dołu, z odległej kolebki naszego bytu, są odziedziczone po najniżej umysłowo uposażonych naszych przodkach; natomiast wskazówki, wypływające z wnioskowań rozumu — to prądy najwyższego poziomu, do jakiego wznieść się może duch ludzki. Człowiek nie jest sam na świecie, ale żyje w rodzinie, rodzina nie jest samą, ale stanowi część organiczną społeczeństwa: nawet ojczyzna, choćby się mieściła w najszerszych granicach, nie wytwarza sama wszystkich warunków swego istnienia, ale zależną jest od warunków ogólniejszych bytu, które dzielić musi z innymi tej ziemi narodami, czyli liczyć się z warunkami życia ogólnoludzkimi. Stąd wynika, że interesy jednostki związane są z interesami rodziny, ojczyzny, a wreszcie ludzkości całej. Już z uwag tych wynika, jak niebezpieczną rzeczą dla jednostki jest wystawiać żagle swego życia wyłącznie na powiewy tchnień samolubnych. Interes bowiem całej ludzkości, ojczyzny, rodziny, jest jej interesem wedle wywodów rozumu.

Interes, czyli mówiąc inaczej, pomyślność jednostki wszakże, urzeczywistniająca się drogą dbałości jej o interesy tych otaczających ją bliższych i dalszych kręgów ludzkich, jest niczem więcej, jeno błogim skutkiem, spływającym na jednostkę z urzeczywistniania przez nią *ideału dobra.* Innemi słowy: urzeczywistnianie ideału dobra przez jednostkę jest bronieniem własnych jej interesów. I tak też jest w istocie. Omijając szczególne przypadki poświęcenia i ofiary, połączonej z cierpieniem, do których powrócimy później, nie ulega wątpliwości, że przez czynienie dobra najskuteczniej kochamy siebie. Nie jest to paradoks, ale prawda niewątpliwa, że miłość bliźniego jest najrozumniejszą miłością samego siebie. Postarajmy się jeszcze bliżej to uzasadnić.

Człowiek posiada wrodzony wstręt do cierpienia i wrodzone pragnienie rozkoszy; ma on też przyrodzone i niewątpliwe prawo do tego wstrętu i do tego pragnienia. Zarówno cierpienie jak rozkosz bywają natury cielesnej i duchowej. Przyznać trzeba, że najwyższem cierpieniem jest cielesne. W niem przedewszystkiem przejawia się cała potęga prawdy, że: „prochem jesteś,“ ono streszcza w sobie upokarzającą zależność naszą od atomów składającej nas materyi. Tylko kto bardzo cierpi lub żywo pamięta przebyte męki, zdolny jest rozumieć całą grozę takiego bólu. Nawet poczucie wielkiego dobrowolnego poświęcenia się nie zdoła unicestwić niewysłowienie dojmującego wpływu na nasze czujące „ja“ wielkiego cierpienia ciała: ono je tylko osładza, czasem daje rozkosz obok cierpienia, ale go nie usuwa. Inaczej, wielkie męczeństwa przestałyby być wielkiemi ofiarami.

Z drugiej strony nie ulega wątpliwości, że zarówno skala, jak i natężenie rozkoszy fizycznej nie może przekroczyć rozmiarów nader ograniczonych. We wszystkich dziedzinach naszego czucia cielesnego dotkliwość cierpienia, spowodowana przez nienasycony popęd, jest nierównie większą od

zadowolenia, które płynie z nasycenia popędu. W sferze wrażeń duchowych dzieje się wprost odwrotnie: cierpienie duchowe może wzrosnąć do wielkiego natężenia, jakkolwiek dotkliwe cierpienia cielesne każą nam zapomnieć o bólu moralnym, nawet bardzo wielkim. Natomiast niema w czuciowości naszej tak rozległej skali innej, jaką jest skala wrażeń rozkoszy duchowych. Tu jedynie jest miejsce dla ekstazy, która ziemię czyni niebem, która napawa nas niewysłowioną wdzięcznością sile twórczej świata za to, że nas do bytu powołała i obdarzyła świadomością.

Przypatrzmy się, jaki zachodzi stosunek pomiędzy popędami egoizmu, nieuwzględniającego niczyich interesów prócz własnych, więc przeczącego przedewszystkiem ideałowi dobra, a wrażeniami cierpienia i rozkoszy.

Już w samem natężeniu cierpienia, zarówno fizycznego jak moralnego, ważną bardzo gra rolę udział w niem naszego duchowego nastroju. Jesteśmy bezwątpienia w stanie dowolnie niejako podnosić lub zmniejszać tkliwość naszej mózgowej, że tak rzekę, kliszy. Ten sam bodziec sprawiać nam może mniejszy lub większy ból, stosownie do naszego subjektywnego usposobienia. Otóż zbyt daleko posunięte samolubstwo nastraja stanowczo czujące nasze „ja“ na ton bardzo wielkiej wrażliwości. Dzieje się to naprzód dlatego, że przesadny egoizm nadto odrywa uwagę naszą od wszystkiego, co po za tem „ja“ istnieje, nadto skupia ją w ognisku naszej osobowości, cała więc świadomość nasza wypełnia się jedynie wrażeniami płynącemi z własnego naszego wnętrza. Zajęcie się wyłącznie samym sobą, nietylko że podnosi wrażliwość naszą na ból bezpośrednio, ale czyniąc nas nieprzystępnymi dla wszelkich innych prócz naszego bólu wrażeń, pozbawia nas i tych, które mogłyby nam przynieść pociechę moralną, oraz sprawić ulgę. Samo cierpienie nastraja ducha naszego na pewien ton, który albo jest dodatnim albo ujemnym, tj. albo należy raczej do kategoryi rozkoszy albo cierpienia. Otóż znowu egoizm ma tę właściwość, że nastraja nas na ton ujemny. Do stanów ducha czyli wzruszeń występujących pod wpływem cierpienia fizycznego lub moralnego należą z jednej strony: żal, gniew, upokorzenie, furya, nieokreślona chęć pomstowania, niszczenia, bicia, wreszcie bezmierna, bezgraniczna rozpacz, nawet pragnienie udręczenia współczujących, a z drugiej: poddanie się, pokora, bohaterskie zagłuszanie własnych wrażeń, wdzięczność współczującemu choć bezsilnemu otoczeniu, nawet radość, że doznawanej srogości cierpień nie podlegają ci, których w momencie największych nawet udręczeń i mąk kochać nie przestajemy. Stany duchowe pierwszej kategoryi przyczyniają fizycznym bólom jeszcze i moralne, moralnym - nowe, które sumując się powiększają wogóle stopień naszego cierpienia: uczucia drugiej kategoryi w sumie algebraicznej zmniejszają niepomiernie ilość naszego cierpienia. Wynika stąd, że egoizm, nadto rozwinięty, powiększa cierpienia zarówno fizyczne jak moralne, widocznie więc przeczy samemu sobie, co dowodzi, że sam on nie jest w stanie zabezpieczać w dostatecznej mierze naszych najpilniejszych nawet interesów. Jednym z najważniejszych momentów cierpienia, związanych bezpośrednio z fizycznem, jest obawa, to pełne trwogi oczekiwanie. Ból bywa gwałtownym, ale często krótkotrwałym, a w swej gwałtowności, przechodzącej pewną miarę, doprowadza zresztą świadomość naszą do zupełnego wyczerpania, powodując tą drogę bezczucie. Obawa natomiast bywa tem bardziej długotrwałą, im egoizm jest silniejszy, dodaje ona jeszcze ostrogi świadomości (np. utrudnia wpływ znieczulających środków) i tylko bardzo wysokie stopnie trwogi i to tylko w momencie poprzedzającym samo istotne cierpienie bywa w stanie zawiesić czynność naszej świadomości. Obawa ma i to jeszcze do siebie, że patrzy przez szkła powiększające na przewidywane cierpienia i to powiększające bardzo silnie. Im egoizm jest silniejszym, im bardziej samych siebie kochamy, tem bardziej cierpienie trwogi jest wielkiem, tem więcej czujemy się nieszczęśliwymi.

Obawa cierpienia prowadzi do pilnej troski o zapobieżenie mu. Normalna miara egoizmu prowadzi do normalnej i skutecznej troski zapobiegania cierpieniom, ale egoizm przesadny powiększa tę dbałość do takich rozmiarów, że nawet na rzeczywistem usunięciu zła nic w istocie rzeczy nie zyskujemy, bo sam już przesadnie wytężony niepokój bywa obfitem źródłem bardzo licznych dolegliwości. Odnosi się to zarówno do cierpień fizycznych i moralnych. Ilu to spotykamy politowania godnych ludzi, wiecznie gnębionych bezzasadną trwogą o byt swój materyalny, lub o zdrowie swoje, lub o zadosyćuczynienie nienasyconej próżności i ambicyi.

Egoizm nietylko zbyt skwapliwie ucieka od cierpień, ale również nadto gorączkowo łaknie przyjemności, rozkoszy, słowem — szczęścia. I tu jest nowe źródło bólów, których przysparza sobie, zamiast upragnionych chciwie zadowoleń, zbyt daleko idące samolubstwo. Gorączkowe pragnienie szczęścia — to najbezzawodniejsza droga do cierpienia. Już wyżej zaznaczyliśmy, że skala rozkoszy fizycznej jest wogóle nader ubogą. Wartość zaś jej podnosi się dopiero tem bardziej, im więcej się z nią wiąże pierwiastku duchowego. Przyjemności zmysłowe są przedewszystkiem nader przemijające; powtóre, jeżeli często się powtarzają, obojętnieją nam w znacznym stopniu, ale nie w tem znaczeniu, aby egoizm mniej ich pożądał, tylko że wielkość zadowolenia z nich płynąca niepomiernie maleje. Dopiero nadmierne ich użycie odejmuje im w zupełności charakter rozkoszy, pozbawia też egoistę całego szeregu wzruszeń przyjemnych i wtrąca w smętny stan gorzkiego zniechęcenia i niemal bolącego wstrętu do życia, które nierzadko też prowadzi do samobójstwa. Przytem zważyć trzeba, że nietylko sama rozkosz zmysłowa przedstawia małą wartość, ale że zbyt natarczywa pogoń za nią naraża nas najczęściej na srogie udręczenia. Droga do szczęścia zmysłowego jest męczącą, uciążliwą i do tego zawodną, przytem im gorętszem było pragnienie, tem boleśniejszym zawód. Nie chcemy przez to powiedzieć, ażeby rozkosze zmysłowe nie przedstawiały istotnego w życiu naszem czaru, ażebyśmy nie mieli prawa ich pragnąć i dla osiągnięcia ich odpowiednich czynić zabiegów. Tylko zbyt gorące łaknienie, jako skutek zbyt daleko posuniętej miłości własnej, mści się na nas samych i zamiast rozkoszy daje nam cierpienie.

(C. d. n.).

Dr. H. Nusbaum.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Sursum corda.

Gdybyśmy ogromną większość ludzi zapytali, co rozumieją przez upragnione szczęście, z pewnością między jego pierwiastkami wyliczyliby jako najważniejsze: zdrowie i ukształcenie. Więc zdawałoby się, że wszystkie drogi prowadzące do osiągnięcia tych celów powinnyby być przedmiotem szczególnej uwagi ogółu. Tymczasem patrzymy ciągle na objaw wprost przeciwny, zagadkowy i prawie niepojęty: wydawnictwa hygieniczne i pedagogiczne mają najmniej czytelników i uważane są powszechnie za „nudne.“ Co to znaczy? Nudne są dla ludzi teorye i wskazówki, uczące ich sposobów zdobycia tego, czego najbardziej pożądają? W zjawisku tem tkwi jakaś sprzeczność, jakaś niedostrzegalna przyczyna, która je wyjaśnia i usprawiedliwia. Rzeczywiście tak jest. Obie te umiejętności zagrzęzły w szablonie, który im odbiera wartość i urok. Zwłaszcza zaś pedagogika. Wytworzyła ona sobie pewien idealny schemat, wzór człowieka normalnego, do którego chce przykroić wszystkie organizacye człowiecze — czyli wytwarzać jednorodność. Stała się ona zarówno w swych systematach, jak instytucyach mennicą, odbijającą ciągle na duszach te same wizerunki i widząca w tej działalności najwyższe swoje zadanie, które rzeczywiście spełnia w olbrzymich rozmiarach.

Trudno zaprzeczyć, że te dusze ludzkie w przeważnej ilości wykazują bardzo wiele podobieństw, umożliwiających nadanie im wspólnego kroju: ale i to także jest niezawodnem, że każda z nich posiada swoje, często zaledwie uchwytne właściwości, oraz że są między niemi takie, których nadzwyczajna odmienność od innych nie pozwala na włożenie ich z niemi w jednakie formy. Jakkolwiek pozornie może się wydawać inaczej i jakkolwiek nie ulega wątpliwości, że większość ludzi w widokach praktycznych dąży do upodobnienia się z typem najogólniejszym, każdy ceni w sobie najwyżej swoją oryginalność. Ten i ów dla dostatku, powodzenia, spokoju, słowem, dla interesu, tłumi i głęboko chowa swoje różnice, które mu przeszkadzają w rachubie życiowej; lecz gdy rozmawia tajemnie z własną myślą i słucha szeptów własnego serca, przyznaje, że te odrębności są mu najdroższe. Są to rzeczywiste jego skarby, których on jednak boi się wynieść z kryjówki swego wnętrza na widownię, są to główne jego korzenie, którymi wrasta w grunt życia, chociaż ssie jego soki innymi, drobniejszymi. I gdyby mu jakaś nauka wskazała sposoby rozwinięcia i zabezpieczenia owych różnic, słuchałby on jej głosu z wielkiem zaciekawieniem i przyjemnością. Natomiast wszelka teorya upodobnień, wykładająca metodę szablonu, nudzi, chociaż wykazuje swą użyteczność praktyczną.

Jeżeli każdy człowiek pragnąłby przedewszystkiem swobodnego ujścia dla swych szczególnych właściwości i jeżeli ogół ludzki osiągnąłby największą korzyść z takiego rozwoju, to ideałem pedagogiki powinna być nie hodowla jednorodności, ale przeciwnie — różnorodności. Najdoskonalszym byłby taki system wychowania, któryby nie tworzył żadnych reguł powszechnych, z wyjątkiem tej jednej, którąby nakazywała najtroskliwsze uwzględnianie oryginalności osobniczych. Jest to wszakże dotąd tylko marzenie nawet śród grup najoświeceńszych. Ani nauka, w tym wypadku znajomość dusz ludzkich, ani organizacya społeczna, ani środki praktyczne nie pozwalają jeszcze na takie różniczkowanie pedagogiczne.

Odbywa się ono jednak na małą skalę, w warunkach wyjątkowych, ale wyniki tych doświadczeń dostatecznie wykazują olbrzymią wartość samej zasady. Ludzie bardzo śmiali i bogaci pozwalają sobie czasem na wyłamywanie rozwoju umysłowego swych dzieci z pod władzy powszechnie przyjętego szablonu i rzeczywiście nieraz z olśniewającem powodzeniem. Jednym z najwymowniejszych przykładów był John Mill. Miał on ojca bardzo rozumnego i zamożnego, który kształcił swego syna samodzielnie, wbrew tradycyi i zwyczajom. Rezultat — znany. Chociażbyśmy nawet zgodzili się na to, że John Mill byłby zna-

komitym człowiekiem, przeszedłszy zwykłą drogę pedagogiczną, możemy zasadnie twierdzić, że nie byłby równie oryginalnym. Toż samo rzec należy o Darwinie, Carlyle'u, Edisonie i innych.

Jeżeli zastanowimy się nad pytaniem, czem jest nauka, to zauważymy łatwo, że ona mniej zawiera nowych zjawisk, niż nowych oświetleń przedmiotów znanych. Ani Kopernik, ani Darwin nie odnaleźli ciał niebieskich lub zwierząt, ale wytłomaczyli inaczej ruchy pierwszych i przemiany biologiczne drugich. Jak oryginalnością ducha twórczego są nowe kombinacye pierwiastków piękna, tak oryginalnością ducha badawczego jest spojrzenie na rzeczy z innej strony. Rozmaite upierzenia ptaków widziano od wieków, ale dopiero Darwin dojrzał ich cechy ze stanowiska teoryi doboru naturalnego. Jest to zupełnie naturalnem i zrozumiałem, że największe prawdopodobieństwo odmiennego spostrzegania przedstawi ten umysł, który jak najmniej podlegał wpływowi szablonu, któremu — że tak powiem — nie nałożono na oczy szkieł konwencyonalnych. Takim niepodobnym do innych jest autor, którym Europa zajmuje się od lat wielu, którego czytelnicy *Prawdy* pamiętają z artykułów dr. L. Winiarskiego od lat kilku, a z którym szersza publiczność polska może bliżej poznajomić się z dwu świeżo wydanych w przekładzie książek („Humaniści nowożytni" J. Robertsona i „Ruskin i kult piękna" R. de la Sizeranne'a). Największy ten — według Carlyle'a — pisarz XIX w. poruszył w swych licznych dziełach zbyt wiele zagadnień, a wywody swoje przedstawił zbyt splątane, ażebym mógł szczegółowo rozsnuwać jego estetyczno-społeczne teorye. Pragnę tylko zwrócić uwagę czytelników na myśl główną, która powinna wpleść się w pasmo naszych myśli.

Ruskin rozpoczął od krytyki malarskiej i z niej robił wycieczki we wszystkie niemal dziedziny życia, badania i twórczości. Taka podstawa wydaje się dość dziwną, a nawet całkiem nieodpowiednią do oparcia na niej socyologii lub biologii. Bo jaki może być np. związek między malarstwem weneckiem a kolejami żelaznemi lub pracą fabryczną? A jednakże estetyk angielski wzniósł gmach swój na tym gruncie bez sztucznych podpórek. Przestanie nas to zdumiewać, skoro zważymy, że życie społeczne, uporządkowane według rozmaitych zasad idealnych, daje bardzo podobne widoki. Czy my wyprowadzimy wzór dla układu jego stosunków z idei dobra, pożytku, rozumu, sprawiedliwości, czy też piękna, otrzymamy mniej więcej jednakie reguły. Oszustwo jest złem, szkodliwem, głupiem, ale także brzydkiem. Miłość bliźniego jest szlachetną, pożyteczną, rozsądną, ale także piękną. Można zatem krytykować i doskonalić świat zarówno ze stanowiska ekonomii społecznej lub prawa, jak estetyki. Ta ostatnia miara nie jest nową, a nawet w filozofii była często podejmowaną. Ale Ruskin użył jej w sposób oryginalny. Jest on nieprzejednanym przeciwnikiem obecnego toku życia w łożysku maszynowo-przemysłowem. Przeklina maszyny, fabryki, koleje żelazne, cały zresztą wrzątek kotła spekulacyjnego, w którym się gotują instynkty chciwe zysków materyalnych. Ma nadzieję, że kiedyś pracować będą tylko wiatr i woda. I rzecz szczególna, pomimo całej sztuczności jego założeń i upodobań, musimy się godzić na jego wnioski. Socyolog stanąwszy przed nowoczesną fabryką, wytacza jej proces za wyzysk, Ruskin chciałby ją zburzyć naprzód dlatego, że mu oszpeciła naturę, której wdzięków on zapamiętale broni, jak najgorętszy kochanek. Obaj ci ludzie, wyszedłszy z odmiennych punktów, spotykają się w tem samem żądaniu. Żadne zaś zestawienie nie uwidocznia dosadniej podobieństwa w różnicy, jak Tolstoj i Ruskin. Pierwszy odrzuca piękno jako zasadę i czynnik życia, wypiera się nawet swoich dawnych utworów artystycznych i pragnąłby odrodzić świat nowym chrztem religijno-moralnym. Ruskin przeciwnie uważa piękno za główny probierz doskonałości i za hasło swego apostolstwa. A jednak ci dwaj tak odmienni myśliciele są bliźniaczo do siebie podobni. Czem? Nienawiścią do obecnych kształtów cywilizacyi i chęcią wskrzeszenia prostoty życia według natury. Nie jest to nowe, poprawione i uzupełnione wydanie naiwnej teoryi Rousseau'a, ale jest to pokrewny mu głos protestu przeciwko wynaturzeniu się ludzkości. Nie pójdzie ona z pewnością ani tą drogą, jaką jej zaleca Ruskin, ani tą, jaką jej wskazuje Tolstoj, ale od obu niech poczerpnie pobudki do uszlachetnienia swych dążeń. W wieku niezmiernie obniżonych popędów, zbrukanych uczuć, zmateryalizowanych zasad, wygnanych ideałów i uprzywilejowanego brutalstwa takie głosy działają nadzwyczaj odświeżająco. Tegoczesna ludzkość wygląda tak, jak gdyby w jej pamięci zupełnie zatarły się wspomnienia z krainy idei Platońskich i jak gdyby ona skutkiem tego zniżała się do kultu Apisów ze złoconymi rogami lub potworów z rozpalonem wnętrzem dla wrzucania w nie ofiar; marzyciele zaś w rodzaju Ruskina i Tolstoja starają się dźwignąć ją z upadku i upadlającego bałwochwalstwa. Chcąc ich należycie zrozumieć i ocenić, nie należy brać ich twierdzeń dosłownie i mniemać, że chodzi o to, ażebyśmy zaczęli chodzić pieszo, zamiast jeździć kolejami lub własnemi rękami szyć sobie buty, ale o to, ażebyśmy — według jednego — byli estetyczniejsi i — według drugiego — moralniejsi, ażebyśmy urzeczywistniali w życiu piękno i dobro, nie zaś ohydę, bezkarną grabież i rozbój. Jest to prawdziwe *sursum corda!* — w górę serca! godło, które powtarzamy w pacierzu a nie stosujemy w czynach.

Poseł Prawdy.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

BADANIA NAD MICKIEWICZEM.

I.

J. Tretiak: *Młodość Mickiewicza* (1798—1824). Życie i poezye. 2 tomy. Petersburg, 1898.

Książka prof. Tretiaka ukazała się w pierwszem wydaniu już przed kilkunastu laty. Obecnie autor wprowadził do niej wiele gruntownych zmian już to dlatego, iż „strona techniczna" wykładu w dawnej postaci nie zadawalała go, już to że przybyły nowe materyały do życiorysu poety, więc niejedno należało sprostować lub rozwinąć. Mamy tedy przed sobą do pewnego stopnia nowe dzieło. Jakkolwiek jest ono monografią, specyalnie poświęconą młodzieńczemu okresowi życia i twórczości naszego wieszcza, przecież w porównaniu z książką P. Chmielowskiego w szczegóły nie obfituje. Autor usiłował roztoczyć przed czytelnikiem obraz tych wpływów, pod których działaniem kształciły się umysł i serce poety, pragnął wytknąć główne fazy rozwoju jego myśli i uczucia i wykazać, jak się one odbiły w jego poezyi; chciał charakteryzować, nie życzył sobie być drobiazgowo wyczerpującym. Więc zatrzymuje dłużej naszą uwagę na pierwiastkach, które grały lub grać mogły poważniejszą rolę w życiu i twórczości Mickiewicza, pomijając lub wzmiankując pobieżnie o szczegółach w tym względzie obojętnych. Tu i owdzie jednak zauważamy drobne przeciw tej zasadzie uchybienia. Kreśląc warunki pobytu Mickiewicza w uniwersytecie, autor obszernie opowiada o zwykłym sposobie spędzania czasu przez majętniejszą młodzież w Wilnie, o jej hulankach, burdach, wrzawliwem próżniactwie. Mickiewicz do tej młodzieży nie należał wprawdzie, ale życie jej, zdaleka oglądane, wydawało się może ubogiemu młodzieńcowi niepozbawionem uroku, a wolnem od przymusu, doznawanego może niekiedy na stancyi u ks. Mickiewicza. Więc też idealizował to życie w „Zimie miejskiej," jednej z najpierwszych swych zabawek poetyckich. Słuszną może tedy jest uwaga autora, że Mickiewicz w innych warunkach mógłby się nie oprzeć ponętom życia światowego, jak nie oparł mu się później w Odesie. Tem wyraźniej prawem przeciwieństwa odcina się od sfery hulaszczej młodzieży to koło przyjaciół, w którem się istotnie obracał przyszły twórca „Pana Tadeusza," wśród którego rosła jego bogata w zasoby dusza. Dotąd wszystko dobrze. Ale zrozumieć trudno, w jakim celu autor po raz już nie wiem który opisuje np. teatr wileński, nie da spokoju owemu aniołkowi, co to ugrzązł pod stropem wskutek lichej maszyneryi itd. Wiadomości te są dla nas tyleż pouczające, co gdzieindziej spis nauczycieli szkoły kowieńskiej. Po takie rzeczy udamy się jak w dym do p. Hosicka. Wogóle można zauważyć, iż tło u prof. Tretiaka rozrasta się z pewną szkodą dla osoby samego poety. Rozumiemy dobrze tego przyczynę. Naprzód co do okresu uniwersyteckiego, źródła są nadzwyczaj ubogie; powtóre, osobowość wieszcza kształciła się dopiero, wchłaniając w siebie zewsząd różnorodne pierwiastki i urabiając z nich swą treść. Przecież w głębi ustroju fizycznego i moralnego spoczywała jakaś zasada, na której podstawie odbywało się upodobnianie pierwiastków zewnętrznych. Autor nie próbował dokonać tej syntezy...

Nietylko umiejętny dobór szczegółów jest wyrazem dążności p. T. do skupiania uwagi czytelników. Dalszym wynikiem tego usiłowania jest pozorne zaniedbanie chronologicznego następstwa wypadków. System podobny posiada niekiedy dość znaczne niedogodności, wymagające często pewnego natężenia pamięci dla uporządkowania bliskich w czasie, lecz daleko odsuniętych od siebie w wykładzie faktów. Lecz zalety metody o wiele przeważają jej strony ujemne. Umysł nasz łacniej ogarnia szczegóły, połączone z sobą nicią przyczynową, aniżeli związane tylko współczesnością, łatwiej też autorowi wykazać wpływ i rozwój jakiegoś odrębnego czynnika, niż kiedy działanie kilku co chwila się krzyżuje. Jeżeli znowu rozważać będziemy sprawę z jej przedmiotowej strony, to i w tym względzie znajdujemy uzasadnienie systemu, który kojarzy formy pokrewne z zaniechaniem w pewnych granicach czasowej kolei zdarzeń. Bo przecież zdarzenia owe mają dla nas wagę głównie przez wzgląd na to, jakich zmian dokonały w duszy wieszcza. Otóż ten lub ów pierwiastek jego usposobienia, jakieś uczucie, myśl czy dążność, otrzymując potrącenie z zewnątrz, rozwija się tylko stopniowo, z przerwami. Dokonywające się powoli przeobrażenia mogą być maskowane do jakiegoś czasu splotem bezpośrednich odruchów na pobudki chwili lub głuszone przez rozwój czynników, oddawna już w myśli i sercu kiełkujących. „Uwagi nad Jagiellonidą" skreślone były przez poetę już po poznaniu Maryli i lekkiem nią rozmarzeniu się. Czy przeto można wykryć jakieś ślady oddziaływania rodzącego się uczucia na tę pracę, choćby wprost ze względu na jej charakter? Czy nie jest ona całkowicie wynikiem poprzedniego okresu, wpływów szkolnych? Więc czyż mamy koniecznie oczekiwać wakacyj, spędzonych przez poetę w Tuha-

nowicząch, nim się odważymy rozejrzeć w owocach jego pracy i natchnienia, w rodzaju klasycznym?

Założenie stowarzyszeń Promienistych i Filaretów o parę lat jest późniejsze, aniżeli wakacye 1818 r., aniżeli pierwsze uderzenia młodzieńczego serca pod działaniem „promionków,“ wytryskających z oczu ukochanej. Ale śledząc dzieje związków młodzieży, poznajemy ducha, który wśród niej panował, tego ducha, który wykołysał poetę, nadał kierunek jego uczuciom, jego działalności twórczej i obywatelskiej. Dopiero później, pod wpływem zawodu miłosnego na jakiś czas serce jego ustało, pierś zlodowaciała, ścięły się usta i zawarły oczy. I oto dlaczego dowiadujemy się od autora wpierw o Filaretach, niż o Maryli, dlatego zatrzymuje on wprzódy naszą uwagę na „Odzie do młodości,“ niż na wcześniejszych od niej baladach. Widzimy też, iż nietylko sama zasada, według której autor porządkuje swój materyał, jest zupełnie usprawiedliwioną, lecz i jej zastosowanie jest tego rodzaju, iż pozwala obejrzeć jego budowę, że ułatwia nam objęcie całokształtu tych czynników, pod których działaniem wzrastał geniusz największego naszego poety.

Nie pokonał jednak autor wszystkich przeszkód przedmiotu, wynikających głównie stąd, iż pojedyncze okresy życia i twórczości, nie ograniczając się wyraźnemi liniami, zachodzą wzajem na siebie. Gdy Mickiewicz, rozwijając wszystkie żagle swego okrętu, poddawał je najsilniejszym podmuchom prądu romantycznego, tworzy przecież jednocześnie z „Dziadami“ „Grażynę“ i klasyczny wiersz do Lelewela, jeżeli już pominiemy pisany dla zarobku komentarz do „Zofiówki“ i żartobliwe „Warcaby.“ Autor tłomaczy klasyczny koloryt pomienionego wiersza i „Grażyny“ potrzebą zjednania sobie powag uniwersyteckich, ale nasuwających się tu wątpliwości całkowicie nie rozproszył. Mickiewicz pragnął być wysłanym na koszt uniwersytetu za granicę: należało tedy skorzystać z obecności w Wilnie kuratora, ks. Czartoryskiego (1822) i złożyć mu dowody swej pracowitości i swych uzdolnień pedagogicznych. Ku temu celowi posłużyłyby raczej „seksterny literatury dla trzech klas wyższych,“ o których autor nie wzmiankuje, aniżeli utwory poetyckie. Bądź co bądź, „przędza przypuszczeń,“ wśród których co do „Grażyny“ obok pomienionego domysłu jest i przykład autora „Jagiellonidy“ i frazes z czyjejś recenzyi, i ustęp ze „Sztuki rymotwórczej“ Dmochowskiego itp. — ta przędza przypuszczeń zgoła przekonywająca nie jest.

Zarówno w dziejach miłosnego uczucia, jak i w rozwoju twórczości już ściśle romantycznej z czasów kowieńsko-wileńskich autor wyróżnia dwie doby. Pierwsza sielankowa — to okres łagodnego uczucia i spokojnego baladowania. Druga—to okres „Dziadów,“ epoka rozpaczy i największego rozbujania namiętności. Słupem granicznym między obiema — przyspieszony ślub Maryli d. 2 lutego 1821 r. W ogólnych zarysach pogląd p. Tretiaka jest słuszny niewątpliwie, nie trzeba wszelako spuszczać z uwagi, iż naprzód przeszłość zawsze odciska wyraźne ślady na życiu późniejszem, a powtóre, że uczucie ludzkie nie może pozostawać w jednostajnej mierze natężenia, lecz zmienną falą to się wznosi, to znów opada. I oto dlaczego „Świtezianka,“ należąca do okresu baladowego i tam też przez autora umieszczona, podznaczona jest wszakże datą 12 sierpnia 1821 r., i oto dlaczego w II-ej części „Dziadów“ znajdują się ustępy czułostkowo-sielankowe, całkowicie nadające się do „Kurhanka Maryli.“

Że drobniejsze fakty zawsze będą protestowały przeciw ramom, w które się ujmuje ich ogół, jeżeli tylko ramy będą zbyt sztywne, jest to chyba rzeczą nieuniknioną. Autor wszakże własnowolnie niekiedy pomnaża budzące się wątpliwości, schodząc z szeroko zarysowanego tła na pole szczegółowych dociekań. Tak, wyjaśniając zwrot młodych umysłów ku romantyzmowi, autor nie omieszkał przytoczyć podanie Odyńca o wrażeniu, wywartem przez „Ludmiłę“ Żukowskiego i o wzbudzonej przez to na parnasie wileńskim baladomanii. P. Tretiak doskonale rozumie, iż przyczyny przeobrażenia smaku literackiego nie zależały zgoła od jakiejś przypadkowej okoliczności. Co do samego faktu, wiemy dobrze, jak często pamięć zawodziła Odyńca. W jego oświetleniu „Ludmiła,“ zadeklamowana przez Czerniawskiego, stała się jakiemś objawieniem, które olśniło całkowicie młodzież. Być może, że ten lub ów drobny szczegół miał poważniejsze znaczenie dla młodocianego ucznia i był dlań otwarciem oczu na nieznany mu świat, lecz czyż dlatego mamy utożsamiać kształcenie się autora „Listów“ i „Wspomnień“ z rozwojem prądu romantycznego? Przecież sam p. Tretiak zaznacza przy rozbiorze zawartości tego tomiku Mickiewicza, że „jakkolwiek podług świadectwa“ Odyńca, młodych poetów wileńskich do pisania balad pobudziła naprzód „Leonora“ Burgera, ślady wpływu tego poety w poezyi Mickiewicza dają się dostrzegać dopiero w niektórych baladach... drugiej seryi.“

W kilku tylko słowach nadmienię o estetycznych rozbiorach „Balad,“ „Dziadów“ i „Grażyny“ i o poszukiwaniu genezy tych utworów. Wszędzie tu autor objawia głębokie przejęcie się przedmiotem i wysokie zdolności rozbiórcze swego umysłu. Zalecić bym chciał zwłaszcza rozbiory „Grażyny“ i „Dziadów.“ Co do „Grażyny,“ nikt chyba z taką przenikliwością nie oddzielił stron ujemnych poematu od tych, które stanowią jego urok, nikt tak starannie nie określił jego znamion klasycznych i nie wskazał zarazem tego romantycznego kolorytu, w którym utwór ten jest skąpany. Rozbiór „Dziadów,“ to znakomicie dokonana próba rekonstrukcyi pierwotnego planu dramatu, pozwalająca nam zrozumieć związek pomiędzy pośmiertnymi fragmentami utworu i t. zw. częściami drugą i czwartą. W szczegółach natomiast niejedno moglibyśmy zarzucić. Nie ulega wątpliwości, że „Upiór“ jest obecnie wstępem, rozjaśniającym ideę „Dziadów“; lecz czy odrazu miał takie przeznaczenie? Być może wiersz ten był poprostu baladą, jak inne, zdradzając z nimi pokrewieństwo nietylko treścią i kolorytem, lecz i budową, w której można odróżnić zwykłe w baladach i romansach Mickiewiczowskich ramy, obejmujące treść właściwą. Uwagę swą autor poświęca przeważnie części drugiej, gdyż ta, zdaniem jego, dotychczas była lekceważona i fałszywie rozumiana. To też polemika rozpiera się tu swobodnie, jakkolwiek jej granice śmiało możnaby uszczuplić. Prof. Tretiak rozprawia się nietylko z sądami badaczów współczesnych, jak Chmielowski i Tarnowski, lecz zwalcza nawet filozofującą krytykę Cybulskiego. Walka zresztą nie zawsze wypada dla autora zwycięzko. Skwapliwie się z nim zgodzimy, że obrazy części II-ej nie obrażają naszego rozumu, wbrew zdaniu dr. Chmielowskiego. Lecz przecież sam autor przeczyć nie myśli, iż część ta bardzo luźnie jest związana z czwartą, w której natchnienie Mickiewicza siłą i szczerością uczucia wznosi się na wyżyny, dla poezyi polskiej przed nim niedostępne. Więc obchód uroczystości „Dziadów“ istotnie wygląda tylko na dekoracyę, jak to utrzymywano. W niewykonanym przez poetę planie obrzęd wywoływania dusz cierpiących miał uzasadnić zjawienie się upiora, który musiał przeżyć swe życie i krwawić wspomnieniami swe rany. Jeżeli taki był pomysł pieśniarza, część „druga“ dramatu oczywiście miała posłużyć jedynie za romantyczne tło istotnej akcyi i odrębnej swej idei nie posiada. A jednak autor taką ideę wynajduje. Jest to dogmat chrześciański, że życie doczesne jest polem zasługi, a życie pośmiertne zapłatą... W zastosowaniu do Gustawa konsekwencya kary i nagrody ujawnia się w skazaniu nieszczęśliwego kochanka na coroczne przechodzenie cierpień za to, że nie oparł się pokusie samobójstwa. Inaczej, poeta „chciał uwydatnić odpowiedzialność woli ludzkiej.“ Ej, ani mu się śniło!

Po ukończeniu rozbioru „Dziadów“ autor poświęca ostatnie karty swego dzieła opowiadania o smutnym epilogu stowarzyszeń młodzieży wileńskiej. Zamykając książkę p. Tretiaka musimy powiedzieć, iż autor doskonale przetrawił bogaty materyał literatury Mickiewiczowskiej i podał go nam w tej formie, która ułatwia ogólny rzut oka na rozwój osobowości genialnego naszego wieszcza i na dzieje jego natchnień. Tajemnicy twórczości autor wprawdzie nie odsłonił, i wogóle mniejszy położył nacisk na charakterystykę poety, niż na zewnętrzne wpływy, lecz w możliwym zakresie cel swój osiągnął prawie w zupełności. Usterki zaś i pewne braki wynikają głównie z trudności ścisłego przeprowadzenia zakreślonego sobie planu. Nie wszystkie też zagadnienia i szczegóły wobec posiadanego materyału mogą być już teraz wyświetlone w sposób, nie budzący żadnych wątpliwości.

A. Drogoszewski.

SZTUKA i RZECZYWISTOŚĆ

Odwieczny spor, czy sztuka odbija tylko rzeczywistość istniejącą, czy też tworzy nową, dotychczas rozstrzygnięty nie został. Z jednej strony uczniowie Zoli twierdzą za mistrzem, iż sztuka powinna tylko naśladować życie, z drugiej indywidualiści sformułowali ostatnimi czasy teoryę wprost odwrotną, według której sztuka ma znaczenie bezwzględne, a życie jest tylko jej naśladownictwem. Ten kierunek krańcowo-idealistyczny przedarł się aż do naszej „najmłodszej“ literatury, ale właściwym jego ojcem jest Oskar Wilde, który w swych „Intencyach“ (The decay of lying) uzasadnia go w sposób nader błyskotliwy, ale zarazem nadzwyczaj paradoksalny. Powiedzmy odrazu, że oba stanowiska są błędne i tylko energietyka społeczna pozwala nam uchwycić właściwy punkt widzenia. Sztuka jest jednym z wytworów różnicy w energii możebnej geniusza i tłumu. Ponieważ energia biologiczna geniusza zamienia się w walce z tłumem na piękno, które dodanem zostaje do istniejącej rzeczywistości, więc oczywista rzecz, iż sztuka nie jest tylko jej odbiciem, ale i przetworzeniem. Energia geniusza wyładowywa się w twórczości, ale ona nie może wcielać się w próżnię, lecz musi dodawać się do czegoś, co już istnieje. Rzeczywistość jest energią czynną społeczeństwa, do tej energii artyści wciąż dodają nowe zasoby swej własnej możebnej, dzięki czemu ogólny skarbiec energii społecznej się wzbogaca i rzeczywistość sama się zmienia. Należy więc wciąż mieć na widoku oba rodzaje energii, gdy Zola i Wilde przywiązują się wciąż tylko do jednego jej rodzaju: Zola do czynnej, Wilde do możebnej. Z temi zastrzeżeniami można przyjąć twierdzenie Wilde'a, iż życie na każdym kroku naśladuje sztukę. Anglia przedstawia nam liczne tego przykłady: dziwny i olśniewający typ piękna, wynaleziony przez Rosettiego w obrazach „Golden Stair,“ „Laus Amoris,“ „Merlin's Dream“ itd., tak potężnie wpłynął na życie, iż w każdym salonie artystycznym można było spotkać panie, które go odtwarzały. We wszystkich mniej więcej dziedzinach tak się dzieje, iż wielki artysta wynajduje typ, a życie go kopiuje, w formie popularnej, jak przedsiębiorczy wydawca.

Życie ma wogóle niesłychaną zdolność naśladowczą. Rozumieli to Grecy w swym subtelnym instynkcie artystycznym i stawiali w komnacie ślubnej państwa młodych posągi Hermesa lub Apollina. Rozumieli, iż życie nietylko zyskuje dzięki sztuce na uduchowieniu i pogłębieniu myśli lub uczuć, ale także, iż ono może organicznie nawet układać się według jej linij i barw, odtwarzając szlachetność Fidyasza i wdzięk Praksytelesa. Stąd pochodził ich wstręt do realizmu. Nie lubili go dla powodów czysto społecznych. Sądzili, iż realizm czyni lud brzydkim i mieli racyę. Staramy się poprawić rasę środkami świeżego powietrza, światła słonecznego, czystej wody lub tanich mieszkań, wszystko to — powiada Wilde — wytwarza tylko zdrowie, ale nie piękno. To ostatnie może być jedynie dziełem sztuki. W powiedzeniu tem jest trochę prawdy, ale autor oczywiście przesadza. Charakterów rasowych, niestety, wpływami zewnętrznymi zmieniać nie można, albo tylko w stopniu nieznacznym.

Autor ma także racyę, ale tylko w części, gdy twierdzi, iż życie naśladuje literaturę. Hamlet był melancholikiem i w ślad za nim mnóstwo ludzi zaczęło sobie stawiać pytanie, dawniej nieznane: „być, czy nie być?" Turgeniew swymi „Ojcami i dziećmi" stworzył dziwny typ męczenników, pozbawionych wiary. Robespierre wyszedł z dzieł Rousseau: „Dziewiętnaste stulecie, jak je znamy, jest w znacznym stopniu wynalazkiem Balzaka. Nasi Lucien de Rubempre, nasi Rastignacowie, nasi Marsayowie pierwsze występy wykonali na scenie *Komedyi Ludzkiej*."

Wszystko to jest słusznem, ale z zastrzeżeniem, iż pisarze powyżsi przetworzyli w sposób oryginalny wpływy życia, w którem uczestniczyli, i tą syntezą zbogacili rzeczywistość samą. Zgodzić się więc nie możemy na twierdzenie, iż „literatura zawsze wyprzedza życie," bo swoją drogą jest także przez nie wyprzedzaną, ani też, iż „ona urabia je dowolnie według swego upodobania," ani też, iż „ono powtarza tylko z niewielkimi dodatkami twórcze wizye wielkich pisarzów." Sprawa postawioną będzie na gruncie właściwym, gdy powiemy, iż społeczeństwa ludzkie są stadami, iż stada te po dawnemu mają wodzów i że pomiędzy wodzami a tłumem istnieje wzajemny, *ogólny* wpływ. Ten porządek naturalny rzeczy pozostał niezmienny pomimo wszelkich pozorów i on zapewnia największe dobro społeczne. Ani stado, ani wodzowie, wzięci z osobna, sobie nie wystarczają, tylko ich współpracownictwo może zapewnić postęp nauki, sztuki i literatury.

Wilde przytacza jeszcze kilka przykładów charakteru patologicznego, gdzie czytelnik, zahypnotyzowany pewnym modelem powieściowym, obiera go sobie za przedmiot nieświadomego naśladownictwa i kończy często życie w sposób tragiczny, aby tylko nie odstąpić od oryginału. Młodzi ludzie dopuszczali się samobójstwa za Rollą Musseta lub Wertherem Goethego. Wszystko to ma dowodzić, iż życie naśladuje literaturę i albo odtwarza typy wyobrażone przez pisarzów, albo też zamienia na fakt to, co oni wymarzyli, jako fikcyę idealną. Podstawą życia jest żądza wyrażenia się i sztuka ofiaruje najrozmaitsze formy, przez które wyraz ten zdobytym być może.

Nietylko życie społeczne, ale natura sama jest, zdaniem Wilde'a, naśladownictwem sztuki. Impresyoniści np. odkryli w przyrodzie takie odcienie i barwy, których dawniej nie spostrzegano i które obecnie stały się nabytkiem powszechnym. Jeżeli tak wracać będziemy myślą po za siebie, to można rozłożyć nasze pojęcia i wrażenia o naturze na szereg nabytków, odkryć zrobionych przez jednostki genialne i które później stały się dobrem ogólnem. Na wszystko to zgodzić się można, o ile pamiętamy, że istnieje oddziaływanie wzajemne pomiędzy geniuszem i tłumem z jednej strony, a z drugiej — pomiędzy człowiekiem i naturą. Wilde jednak bynajmniej na to nie zwraca uwagi i nurza się w paradoksach tego rodzaju: „Natura nie jest wielką matką, która nas zrodziła, ona jest naszym tworem," a to na następującej zasadzie: „Rzeczy istnieją dlatego, że je widzimy i to, co widzimy i jak widzimy zależy od sztuk, które na nas wpływały." Gra słów i paradoks stają się oczywistymi z dalszego ciągu: „Spoglądać na rzecz jest czemś zupełnie innem, niż widzieć ją. Nie widzimy jej, dopóki nie spostrzegamy jej piękna. Wówczas i tylko wówczas ona przychodzi do bytu. Obecnie ludzie spostrzegają mgłę londyńską nie dlatego, iż jest mgłą, lecz dlatego, iż poeci i malarze odkryli w niej tajemnicze wdzięki efektów. Mgły były od wieków w Londynie, ale nikt ich nie spostrzegł. To też nie *istniały*, dopóki sztuka ich nie wynalazła. Obecnie mgły są przyznawane aż do zbytku. Stały się manieryzmem kliki, wygórowane w swym realizmie do tego stopnia, iż prostemu ludowi dostarczają bronchitów. Gdzie człowiek ukształcony chwyta efekt, tam prostak chwyta przeziębienie." Paradoks w tem się zawiera, iż Wilde raz przyznaje objektywne istnienie mgły po za człowiekiem, to znowu nie przyznaje. Właściwie jednak rzecz tak się przedstawia: mgła istnieje jako pewna suma energii kosmicznej, a tłum jako pewna suma określonej energii biologicznej, w artystach zaś objawiają się nowe, nieznane dawniej energie biologiczne, odkrywające nowe odcienie w mgle, energie rozchodzące się następnie w tłumie. We wszystkiem tem mamy jednak do czynienia z bytem realnym: natura zmienia się ze zmianą gatunków zwierzęcych, ale i gatunki zmieniają się pod wpływem natury.

Po tem zastrzeżeniu zgodzić się jednak możemy z Wildem, iż należy błagać sztukę, aby zwracała swe oczy dziwne i cudowne na wszystkie strony. Niechaj tworzy coraz nowe, niezrównane efekty, przechodząc od rzeczy do rzeczy. Wprawdzie to nie „natura powtarza za artystą efekt," gdyż on w niej istniał, tylko ludzie zaczynają efekt ten spostrzegać za artystą i spostrzegając, powtarzają go bez końca, aż do znużenia. Moda w poglądach na naturę istnieje, jak we wszelkich innych dziedzinach. Nikt nie rozprawia już dziś o pięknie zachodów słonecznych. Zachody słońca są kwestyą staromodną, należą do czasów, gdy Turner był ostatnią nutą w sztuce. Zachwycać się niemi dziś jest oznaką prowincyonalizmu. Gdy Wilde dziś jeszcze spogląda przy zachodzie na niebo, widzi już tylko Turnera z drugiej ręki, ze wszystkimi jego brakami, niesłychanie wygórowanymi. Turner klasyczny dawał zachody piękniejsze od naturalnych. Wreszcie Wilde zaprzecza, aby sztuka wyrażała ducha czasu, moralne i społeczne warunki otoczenia. Ma ona wyrażać nie innego, jak tylko siebie samą (creatio ex nihilo!). Rozwija się ona wrzekomo tylko według własnych swych praw wewnętrznych. Nie wyobrażajcie sobie — powiada — ażeby ludzie z wieków średnich mieli jakiekolwiek podobieństwo z utworami sztuki, które nam pozostały z tych czasów. Byli pewno bardzo zwykłemi osobami, pozbawionemi wszystkiego, co nadzwyczajne lub fantastyczne.

I owszem — moglibyśmy odpowiedzieć — psychologia wieków średnich należy swym mistycyzmem do patologii duchowej. Wieki średnie, o ile je znamy ze sztuki, są tylko — według Wilde'a — określonym stylem artystycznym i niema powodu, aby artysta z takim stylem nie mógł się pojawić w XIX wieku. Tak samo — twierdzi — Japończycy są pod każdym względem zupełnie do nas podobni: sztuka japońska jest sprawą stylu, niczem więcej. We wszystkiem tem paradoks jest nazbyt oczywistym, aby warto było go zwalczać. „Czy sądzicie, iż sztuka grecka przedstawia nam Greków, jakimi byli? Czy sądzicie, że kobiety greckie były podobne do posągów Partenonu? Mylicie się. Czytajcie Arystofanesa: były to istoty obrzydliwe, podobne do najgorszych megier z naszych czasów." Otóż faktycznie Arystofanes dawał nie obraz rzeczywistości, lecz jego karykaturę, a kobiety greckie były — wprawdzie nie zupełnie identyczne z posągami, gdyż artysta wprowadzał niewątpliwie swój czynnik osobisty — ale do nich podobne. Piękno sztuki greckiej pochodzi przedewszystkiem z piękna rasy, największej w ludzkości. Co do malarzów współczesnych, słusznie Wilde twierdzi, iż większość ich skazaną jest na zapomnienie, nigdy bowiem nie malują tego, co sami widzą, lecz to, co publiczność widzi, a ta nigdy niczego nie widzi. Co do portretów, jedynie prawdziwymi są te, w których bardzo mało jest z modelu, a dużo z artysty. Portrety Holbeina uderzają nas swym wyrazem realności, ale to dlatego, iż on zmuszał życie do przyjęcia jego własnych warunków, do zwężenia się w granicach, które mu nakładał, do stworzenia jego typu i do objawienia się tem, czem on chciał, aby się objawiało.

Realizm naszych czasów jest największą klęską sztuki, która ją zabija, również jak literaturę. Nawet R. L. Stewenson psuł swe wdzięczne utwory chęcią nadawania im pozorów realizmu. Henryk James pisze powieści, jak gdyby to było najuciążliwszym obowiązkiem. Hall Caine ma na celu wzniosłość, ale jest w swym realizmie tylko ociężałym. Bidder Hagar miał w sobie materyał na wspaniałego łgarza, ale, niestety, tak się obawiał, iż go ktoś posądzi o geniusz, że, opowiadając coś cudownego, czuje się w obowiązku wynaleźć osobistą reminiscencyę, jako tchórzliwe potwierdzenie. William Black szuka potężnych chromolitograficznych efektów. Pani Oliphant opisuje kucharki, służące, lawn-tenis i tym podobne rzeczy. Marion Crawford złożył się w ofierze na ołtarzu koloru miejscowego — przytem wpadł w moralizatorstwo i chwilami jest prawdziwie budującym. „Robert Elsemere" jest arcydziełem nudów i dlatego ma tak wielkie powodzenie w Anglii. Tak Wilde sądzi o autorach realistycznych swego kraju.

We Francyi nie o wiele lepiej. Guy de Maupassant, pomimo żywego stylu i gorącej energii, jest artystą chybionym, gdyż z zaczarowanego koła rzeczywistości wydobyć się nie mógł. Zola ma niewątpliwie potęgę, ale dzieło jego od początku do końca nic nie jest warte, i to nie z punktu widzenia moralności, ale sztuki. Ze stanowiska etyki jest tem, czem być powinien, prawdziwym, a czegóż więcej etyka wymagać może? Wiek nasz obarza się na Zolę, jak istotny Tartuffe zdemaskowany. Ale z punktu widzenia sztuki wszystko to jest obrzydliwe. Jego bohaterowie mają bezmyślne wady i bezmyślniejsze jeszcze cnoty. A zresztą co to nas wszystko obchodzi? W literaturze chcemy wytworności, czaru, piękna i potężnej wyobraźni. Daudet jest lepszy, ma dowcip, lekkie dotknięcie, zabawny styl, ale dokonał prawdziwego samobójstwa wyznaniem, iż osoby jego wzięte są wprost z życia. „Nam wydaje się, iż naraz utraciły coś ze swej żywotności.. Jeżeli autor bierze nawet z życia wzory, to bynajmniej nie powinien nam dawać tylko kopii. Usprawiedliwieniem charakterów w powieści jest nie to, iż osoby są tem, czem są, lecz że autor jest tem, czem jest. Inaczej powieść nie jest dziełem sztuki."

Pozbawione obszerniejszej, paradoksalnej podstawy, poglądy te są zupełnie słuszne. W literaturze i sztuce osobowość twórcy jest wszystkiem.

Dr. L. Winiarski.

ODCZYTY.

Karol Dunin. „O ślubach cywilnych.“ Ksawery Sporzyński. „Na Lofotach.“

Odczyt p. Dunina był czysto informacyjny. Prelegent, trzymając się skrupulatnie tego zadania, zapoznał słuchaczów z wszystkimi drobiazgami formalności ślubów od czasów najdawniejszych do chwili obecnej. To też nie uważamy za właściwe nawet streszczać tych szczegółów, prawie powszechnie znanych. Zaznaczyć tylko musimy, że w stosunku do głównego przedmiotu, tj. ślubów cywilnych, informacye, dotyczące wogóle ślubów, zajęły zbyt dużo miejsca. Prelegent starał się przedewszystkiem sprostować błędne mniemanie, szerzące się śród szerokiego ogółu, mianowicie to, że śluby cywilne są jakoby zawierane, jak wszelkie inne umowy, na czas określony, że zatem umowy takie łatwo mogą być rozwiązane. W rzeczywistości tak nie jest. Śluby cywilne są tak samo, jak i kościelne, związkami dozgonnymi, których nie wolno potargać, gdyż ich zadaniem jest założenie i utrwalenie rodziny.

Kto przypuszczał, że odczyt p. Dunina będzie kwestyą społeczną, ten wyszedł z sali zawiedziony. Cały bowiem wykład był tylko suchym szkieletem, rusztowaniem, na którem można dopiero rozsnuwać liczne kwestye żywotne — społeczne, etyczne i ekonomiczne. Jedną z nich był rozwód, ale o nim prelegent wspomniał tylko mimochodem. Kto jednak pragnie się zapoznać ze ślubem jako rdzeniem tych spraw i zagadnień, ten ma bogatą już dziś literaturę, traktującą szeroko istotę związków małżeńskich, ich wpływu nietylko na rodzinę, lecz i byt społeczny w zakresie moralnym i materyalnym. P. Dunin jednak nie występował na katedrze, ani jako humanista, ani jako ekonomista, ani socyolog. Przemówił on do publiczności w roli informującego prawnika, a zatem nie można od niego wymagać więcej po nad program ściśle określony.

P. Sporzyński, który upodobał sobie Północ, już nie po raz pierwszy roztacza przed publicznością obrazy z tego odległego świata. Obecnie mówił o Lofotach, czyli wyspach Lofodeńskich, położonych przy północnych brzegach Norwegii. Tam, gdzie mu nie dopisywała plastyka słowa, starał się uplastycznić swe wrażenia obrazami nikłącymi. Jednym z ciekawszych szczegółów był opis całkowitego zaćmienia słońca, obserwowanego przez mówcę w 1896 r. Obrazy Północy dotychczas jeszcze czekają na artystę w najszerszem znaczeniu. P. Sporzyński nie jest artystą i zdaje się nie ma w tej mierze żadnych roszczeń, więc wypowiedział swe wrażenia słuchaczom w taki sposób, w jaki się wypowiada słuchaczom salonu. Chociaż jednak publiczność nie zaznała wrażeń i wzruszeń prawdziwych, nie odczuła cząstki tego, co odczuć może głęboko wrażliwa dusza świadka naocznego, chociaż nie potrafiła zapewne zdać sobie sprawy, dlaczego piękno krajobrazów Północy mogą odczuć tylko królowie — niemniej jednak z całego odczytu wyniosła jakiś pożytek *).

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

POWIEŚCI. Nakładem H. Wawelberga a na dochód autorki wyszły „Pisma“ E. Orzeszkowej w czterech dużych tomach za niezmiernie nizką cenę 1 rb. 60 kop. całość!

— Jako dodatek do *Gazety polskiej*, wyszła nowela M. Konopnickiej „Pod prawem“ (156 str.).

— M. Łopuszańska: „Obrońcy bogów,“ powieść na tle dawnych legend (230 str.). Dubowski.

— Towarzystwo wydawnicze we Lwowie wypuściło zbiorek nowel współpracowniczki naszej M. Turzymy p. t. „Nadbrzeżne fale“ (159 str.).

POEZYE. T. Lenartowicz: „Poezye“ (148 str.), dodatek do *Gaz. pols.*

— J. Słowacki: „Pisma,“ tom 1, dodatek do *Kuryera Codziennego.*

*) O odczycie Ignacego Matuszewskiego, wybitnie wyróżniającym się, damy osobny artykuł.

SPRAWY EKONOMICZNE.

ANKIETA W SPRAWIE ROBOTNIC WE LWOWIE *).

II.

Zebrano zeznania od 58 pracownic i trzech przedsiębiorców, a jakkolwiek niewielka to liczba, trudu kierowników nie można uważać za stracony. Już w pierwszym artykule starałam się podać szczegółowe dane o położeniu kobiet pracujących w kilku zawodach. Drukowane sprawozdanie daje mi sposobność dopełnić te wiadomości, a jednocześnie na podstawie (chociaż szczupłego) materyału wyprowadzić kilka wniosków ogólniejszej natury.

Jednym z najuciążliwszych zawodów okazał się zawód praczki. Praca jej trwa od 7 rano do 9 wieczorem z małą przerwą, podczas której nawet do domu na obiad iść nie wolno. Co sobota niemal, a czasem i w inne dni tygodnia robota przeciąga się do 11 lub 12 w nocy, niekiedy do 3, 4 lub 6 rano. Płaca względnie wysoka (średnio 80 ct. dziennie) waha się między 18 a 22 florenami na miesiąc. Za godziny nocne nie dopłacają wcale, albo bardzo mało, w postaci kolacyi i kilkunastu centów. Naturalnie, że i tu, jak wszędzie, są rozmaite kategorye robotnic. Piorą niekiedy zwykłe, lepiej płatne służące, prasowaczki otrzymują wyższe wynagrodzenie. Pomimo takiego mozołu budżet praczki jest ograniczony, a to tem bardziej, że pracując 14 godzin na dobę, niema ona czasu nic sobie sama przygotować, a restauracyjne jedzenie drogo kosztuje. Dziewczyna samotna, która cały zarobek na siebie tylko wydawać mogła, podaje następujące wydatki. Mieszka kątem przy rodzinie robotniczej, za co płaci 2 złr. miesięcznie. Na śniadanie posyła po kawę za 12 ct., obiad złożony z zupy i kawałka mięsa kosztuje 20 ct., na kolacyę jada wędliny. Ubranie kupuje gotowe, bo nie ma czasu szyć. Jest to więc czysto kawalerski tryb życia, przy którym praczki częściej, niż inne robotnice, pozwalają sobie rozrywek w postaci wycieczek zamiejskich w niedzielę po obiedzie, lub zabaw tanecznych. Naturalnie tylko dziewczęta; zeznania jednej, która z pracy swej musiała wyżywić dwoje dzieci, wykazały zupełną niemożebność utrzymania choćby najskromniejszego domu.

Pralnie lwowskie są zwykle drobniejszych rozmiarów, tak że liczba sześciu prasowaczek uchodzi już za znaczną. Robota przeważnie ręczna, choć w większych zakładach są już maszyny do prasowania. Oprócz kobiet w takich większych pralniach zatrudniani są również mężczyźni, a nawet praca ich uchodzi za lepszą; bo mają więcej siły. Wogóle przecież ilość wymaganej roboty jest znaczna, zwłaszcza w pralniach żydowskich. Dobra robotnica może uprasować 45 koszul lub 300 kołnierzy na dzień.

Do rzędu zajęć nietylko mozolnych, ale i ciężkich, należy robota w cegielniach. Spełniają ją przeważnie mężatki. Polega ona głównie na układaniu cegieł, a zatem na ciągłem dźwiganiu, wymaga znacznego wysiłku i trwa, po odliczeniu przerw, 11 godzin. Płaca kobiety wynosi około 60 ct. dziennie, a sezon trwa od kwietnia do św. Michała. Mężczyźni, zajęci jako furmani, mają do 20 złr. tygodniowo, a przy maszynach 7—8 złr. tygodniowo. Utrzymanie rodziny, pracującej w ten sposób, jest tedy podczas sezonu, przy ograniczonych potrzebach robotnika galicyjskiego dostatecznem, za to na zimę wszystko ustaje.

Kolporterka dzienników — to znów zawód, niewymagający uzdolnień specyalnych, tylko dobrych nóg. Zajęcie to jest niestałe, a kobiety, które mają mniej sił do chodzenia po piętrach, zarabiają zwykle mniej od mężczyzn, choć wynagrodzenie jest jednakowe (30 ct. od numeru). Pracujące tu kobiety są przeważnie wdowami po kolporterach. Zresztą zeznania jednej nie mogą być miarą położenia w tym zawodzie, smutną za to kartę życia kobiety z klas niższych daje opis osobistych jej stosunków. Z 14 dzieci pozostało tylko czworo, inne umarły przeważnie w wieku poniżej 2 miesięcy. Mąż umarł po 8 latach choroby. Teraz ona i córka są podporą rodziny: dwoje dzieci posyła do szkoły, a drożyznę mierzy ceną kartofli, których „kwarta kosztuje tak drogo, bo aż 4 centy!“ Zarówno robotnice cegielniane, jak i rodzina kolporterki żywią się przeważnie kartoflami, chlebem, kapustą, herbatą.

Wyrób sztucznych kwiatów rozwinął się we Lwowie koło 1877 r., a nieliczne przedsiębiorstwa ówczesne robiły znakomite interesy; dziś przecież, jak twierdzi jedna z przedsiębiorczyń, kwiaciarstwo mniej popłaca. Prawdopodobnie oddziaływa na to współzawodnictwo Wiednia i Pragi, gdy przed dwudziestu laty sprowadzano jedynie kwiaty paryskie. Lwowskich się nie wywozi, lecz przeciwnie, sprowadza się z zagranicy za pośrednictwem Żydów. Stąd w całym przemyśle panują smutne stosunki zarobkowe.

Odbija się to na wynagrodzeniu pracownic, które rozpoczynają od 2 złr. miesięcznie, po trzech latach nauki dochodzą do 5-ciu, wykwalifikowana zarabia od 8—18 złr. miesięcznie. Za to dzień pracy nie trwa długo (w jednej pracowni 7½ godz.). Uczennice i pracownice mają przeważnie utrzymanie przy rodzinie, bo inaczej nie mogłyby wyżyć i ubrać się porządnie.

Sprawozdanie pozwala także wytworzyć sobie pojęcie o zajęciu rękawiczniczek. Dziś wogóle brak ich we Lwowie, tak że setkami posyłać trzeba przykrojone rękawiczki do Czech, skąd przychodzą szybko i w oznaczonym czasie. Sprowadzane są również rękawiczki z Wiednia i te głównie rozchodzą się po prowincyi, przyczem Lwów jest tylko pośrednikiem. Udział kobiet przy wyrobie rękawiczek polega na szyciu już przykrojonych i przygotowanych par po domach. Sklepy dają w tym celu maszyny na wypłatę ratami, a jakkolwiek raty nie są wysokie, trudno znaleźć chętne kandydatki. Przyczyny należy szukać nie w nizkiem wynagrodzeniu, gdyż umiejętna robotnica zarobić może 6—8 złr. tygodniowo, lecz w specyalnych warunkach pracy. Do rękawicznictwa bowiem potrzeba ręki delikatnej, niespracowanej, podjąć go się tedy zwykle mogą kobiety z warstw nieco zamożniejszych, tym zaś nie chce się wykonywać roboty terminowej. Niezaradność ponosi również część winy, a wszystko razem składa się na to, że pomimo iż robotnice cisną się do zawodów, opłacanych tak słabo, jak szycie bielizny lub sukien, do rękawicznictwa brak kandydatek,

*) Ankieta zasiadała we Lwowie w maju i [illegible]ca r. z. Jako jej uczestniczka podzieliłam się wówczas z czytelnikami *Prawdy* cześcią rezultatów. Ogłoszenie drugiego artykułu musiałam odłożyć, na prośbę prof. Pilata, aż do chwili wyjścia drukowanego sprawozdania.

Stębnowanych rękawiczek, przy których najwięcej zarobić można, nie szyje się już wcale, a przemysł upada.

Pomocnice w fabryce cukierków spełniają tylko drugorzędne roboty, wskutek tego płaca tygodniowa nie przechodzi $2^1/_2$—3 złr., a niekiedy wynosi tylko 90 ct. Pracują tu Żydówki i katoliczki, od 13 lat poczynając. Nawet w fabrykach katolickich Żydówek jest znacznie więcej. Czas pracy od 7 rano do $8^1/_4$ a nawet do 9 przenosi znacznie dozwolony w Austryi normalny dzień roboczy. Mężczyzni w tej samej fabryce trzymają się przepisu prawa, kobiety zaś nie śmią wystąpić przeciw woli pracodawcy.

Uogólniając wyniki ankiety, zastrzegam, że opierają się one na zbyt nielicznym materyale, aby można było wyprowadzić stanowczo wnioski. Mamy tu przecież zeznania szczere i notowane z całą bezstronnością i ścisłością, a odebrane z nich wrażenie pozwala twierdzić, że znaczna liczba gałęzi przemysłu upada, albo też rozwinąć się nie może i to jest główną przyczyną złych stosunków, które w nich panują. Tak jest w rękawicznictwie, kwiaciarstwie, hafciarstwie, bieliźniarstwie. W drukarniach, introligatorniach, pralniach, stosunki zarobkowe są znośne, z szycia utrzymać się można tylko chodząc po domach. Tak przedstawiają się zawody, które nazwaćby należało wyższymi. Potrzeby pracownic są stanowczo wyższe, niż zarobek, który w wyjątkowych tylko wypadkach wystarcza na utrzymanie.

Robotnice budowlane, cegłarki, praczki mają zajęcie ciężkie, ale stosunkowo lepiej płatne, a wynagrodzenie wobec ich niezmiernie nizkiej stopy życiowej jest prawie wyższem od potrzeb. Jeżeli pierwszą kategoryę pracownic nazwać rękodzielniczkami, drugą zaś porównać do robotnic fabrycznych, to powtarza się u nas to samo zjawisko, które zauważono w Londynie: pracownice wyższej kategoryi, wykwalifikowane, mające za sobą lata nauki, są względnie gorzej płatne od zwykłych robotnic.

Dr. Zofia Daszyńska.

O PRAWDĘ.

Amico Platus sed magis amica veritas: choć w zupełności podzielam zasadniczą opinię „Ziemianina," jak ten ją w nr. 13 *Prawdy*, w artykule „Ordynaryusze-wyrobnicy" wypowiedział, a mianowicie, że jeżeli już nie społeczne, to czysto ekonomiczne względy nakazują właścicielom większej wiejskiej posiadłości dołożyć starań nad poprawą bytu i zabezpieczenia przyszłości wspomnianej klasie ordynaryuszów; jednak uważam za obowiązek sprostować niektóre dane szan. autora:

1) Ogólna norma wynagrodzenia ordynaryuszów jest bezwarunkowo, przynajmniej w większej części kraju, daleko wyższą. I tak: pensya roczna stanowi dziś przeciętnie nie 15, a 20 rb. (w naszych stronach lubelskich jeszcze wyższa).

2) Cena kartofli otrzymywanych przez ordynaryusza, którą po strąceniu kosztu obróbki Ziemianin podaje po 20 kop. korzec, jest absolutnie niemożebną do przyjęcia i co najmniej winna być podwójnie liczoną.

3) Opał ma kosztować 4 rb. sążeń. Tymczasem my tu, niby w leśnej okolicy jeszcze mieszkając, płacimy po 8—9 rb. sążeń w lesie, do którego o 2—3 mile trzeba posyłać, co zwiększa koszt o 4 rb. na sążniu. Kto ma swój las, to samo się przez się rozumie, że go kosztuje opał ordynaryuszów tak samo, z wyjątkiem chyba zwózki. Dlatego też minimalnie trzeba ten wydatek liczyć nie 8 rb., lecz koło 20.

4) Mieszkanie. Czworak kosztuje co najmniej 500 rb. Licząc więc 5% najmu i 5% amortyzacyi, wypadnie na rodzinę ordynaryusza po 12 rb. 50 kop., a nie 6, jak podaje Ziemianin.

5) „Za głodzenie krowy na dworskiej oborze... 7 rb." Jest to już wprost albo fatalna przesada, albo zupełna nieświadomość stosunków. Krowa ordynaryusza rzeczywiście pobiera w większej części ze dworu tylko sieczkę i bardzo średni letni wypas, ale po za tem wykarmia się zupełnie dostatnio przez ordynaryusza z produkcyj majątku, bo obierzynami kartofli, resztkami straw, zielem, ścierniskiem itd. Prawda, że ta część paszy nie może być obliczoną na gotówkę, ani też zrealizowaną przez właściciela majątku, ale ostatecznie otrzymuje się ona nie skądinąd, tylko z majątku, a w rezultacie ordynarysz ma *po największej* części daleko większy udój, niż dwór od swoich krów. Nadto, podkarmiając chude, kupowane na jarmarkach krowy, wypasa je i jeżeli nie dwa, to raz na rok z zarobkiem sprzedaje. Mawię to bez żadnej skromności. Sam mam prawie wzorową oborę, karmię w znacznej części kupną skoncentrowaną paszą, rasa wyborowa, dopilnowanie najstaranniejsze i... krowy pojedyncze moich ordynaryuszów dają, jak wiem dobrze, więcej mleka, niż moje. Bo faktem jest, że jedną krowę w zupełnie nawet nieszczególnych warunkach hodować można lepiej, niż oborę w najlepszych.

6) To samo prawie co do utrzymania prosiaka. Ziemianin liczy to na rubla. Tymczasem oto dziś słyszę jeden z moich ordynaryuszów sprzedał odkarmionego wieprzka zu 45 rb. A czem go odkarmiał? Wszak nic nie kupił. Więc wywód jasny. To samo o całych stadach kur i gołębi

Powtarzam jednak, iż poprawki moje nie mają w zamiarze protestu zasadniczego, lecz tylko tak wszędzie i zawsze pożądaną ścisłość przedstawienia rzeczy.

Eug. Sokołowski.

W DALI.

Petersburg. Pisma rosyjskie podały następujące sprawozdanie: Sąd wojenny turkestański, rozpatrzywszy d. 9 marca sprawę mieszkańców powiatu Margelańskiego, Turk-beja Arzykuł Pansat-Ogły, wieku lat 33, oraz Kal Musułmana Kul Szirbajewa, liczącego lat 55, oddanych pod sąd wojenny na mocy rozkazu dowodzącego wojskami okręgu z dnia 3 marca — uznał ich za winnych zarzucanych im przestępstw. Podsądni byli oskarżeni — Szirbajew o to, że, przystąpiwszy do spisku z nieżyjącym (straconym) iszanem min-trubińskim, w celu obalenia rządów rosyjskich w kraju, był bezpośrednim pomocnikiem tegoż iszana przy werbowaniu uczestników powstania oraz podczas napadu na miasto Andiżan; następnie o udział w napadzie na dom sędziego Kwiniskiego-Juszowa oraz o zamordowanie mieszczanina Byczkowa. Pansat był oskarżony, o przystąpienie do tegoż spisku. dalej o to, ze brał udział w powstaniu, mianowicie organizował partyę pod kierunkiem Inojat Chana (również już straconego), wreszcie o wspólnictwo w morderstwach, spełnionych na osobach: mieszczanina Drobiszewa i komisarza aszakińskiego Sulejmana. Sąd, rozpatrzywszy sprawę, postanowił: po pozbawieniu oskarżonych wszystkich praw stanu skazać ich na karę śmierci. Jednakże wskutek starań p. o. głównego naczelnika kraju (okręgu), Jego Cesarska Mość Najjaśniejszy Pan Najmiłościwiej raczył darować obu skazanym życie, z zamianą kary, naznaczonej przez sąd, na bezterminowe ciężkie roboty. — *Swiet* podaje następujące szczegóły o wpływie cudzoziemców do południowych gubernij Cesarstwa. Obecnie poddanych niemieckich przybyło 2,255, belgijskich—1,400, liczba poddanych padyszacha wynosi 489, austryackich — 460, francuskich — 149, angielskich 142, bulgarskich — 133, włoskich — 133, emigranci innych narodowości — Szwajcarowie, Grecy, Serbowie, Rumuni, Szwedzi, Holendrzy, oraz Hiszpanie przybyli w liczbie również znacznej. Każda jednak z tych narodowości liczy od 26 do 61 przedstawicieli. — Sprawą reformy kalendarza w Rosyi zajmuje się Towarzystwo astronomiczne w Petersburgu. Niezależnie od tej pracy, z projektem przyspieszenia reformy występuje teraz ministeryum komunikacyi. Wychodząc z zasady, że w stosunkach handlowych międzynarodowych termin zawarcia umowy między stronami (koleje odgrywają ważną rolę w handlu powszechnym), jest rzeczą podstawową, ministeryum wszczyna sprawę reformy kalendarza, zalecając stopniowe przeprowadzenie reformy w okresie od r. 1900 do 1948.

KRONIKA.

Uroczystość Mickiewiczowska. *Wiek* podał następującą notatkę ze sprawozdania komitetu w Lozannie (Centenaire d'Adam Mickiewicz. Lausanne le 24 Décembre 1898. Compte rendu du comite. Paryż, 1899). „Wspaniała i podniosła uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej Mickiewicza w uniwersytecie w Lozannie dnia 24 grudnia 1898 r., pozostanie niewątpliwie jednym z najpiękniejszych i najpamiętniejszych momentów całego zeszłorocznego obchodu setnej rocznicy urodzin poety. Cenną i niezbędną pamiątką tego ślicznego a tak sercu polskiemu drogiego obchodu, pozostanie opis tej uroczystości i sprawozdanie komitetu, ogłoszone obecnie w języku polskim i francuskim, a napisane przez przewodniczącego w tym komitecie, prof. dr. J. Kallenbacha z Fryburga. Ozdobnie wydana pamiątka mieści ładnie wykonaną podobiznę odsłoniętej w Lozannie tablicy pamiątkowej, następnie opis działalności komitetu, opis samej uroczystości, tekst przemówień prof. Laskowskiego i innych, francuski odczyt prof. Kallenbacha p. t. „Mickiewicz à Lausanne," wygłoszony podczas uroczystości, tekst i spis telegramów, nadesłanych na uroczystość, wreszcie wykaz składek i sprawozdanie kasowe, wykazujące, że wydatki komitetu przewyższyły sumę, zebraną ze składek na koszty obchodu."

Koleje i komunikacye. Zarząd zakładów dobroczynnych Cesarzowej Maryi świeżo opracował projekt pobierania od osób przychodzących na dworce kolejowe, w celu odprowadzenia lub powitania pasażerów — opłaty, wynoszącej w klasie I i II po 10 kop. od osoby, w kl. III po 1 k. Fundusz zebrany z tych opłat będzie przeznaczony na rzecz przytułków dla dzieci, w części zaś na wykształcenie dzieci urzędników ministeryum komunikacyi. Departament kolejowy wyznaczył już komisyę, która ma się zająć zbadaniem projektu.

— Na Bugu, od stacyi kolei Nadwiślańskiej Dorohusk do osady Kryłów w pow. Hrubieszowskim, zaczął krążyć parowiec osobowo-towarowy „Mokwin," należący do H. hr. Ponińskiego-Walewskiego. Stacye: Kryłów, Gródek, Uściług, Łystraków i Dorohusk. Kantor główny żeglugi mieści się w Hrebennem pod Hrubieszowem.

Wiadomości urzędowe. *Kijewlanin* i inne pisma podały następujące obwieszczenie generał-gubernatora kijowskiego, podolskiego i wołyńskiego, dowodzącego wojskami, generał-adjutanta Dragomirowa, wydane na mocy art. 15 i p. 2 art. 16 ustawy o wzmocnionej ochronie (I dopełnienie art. 1 ustawy o zapobieganiu i ukrócaniu przestępstw, wyd. 1890 r.): „Podaję do wiadomości powszechnej: 1) Wszelkie demonstracye uliczne i wszelkie zbiegowiska ludu na ulicach, placach, bulwarach i w ogrodach m. Kijowa, a niemniej na dworcu kolei (bez krępowania oczywiście zwykłego ruchu podróżnych i handlu na targach) są przeze mnie najsurowiej zabronione. 2) Na wezwanie policyi zebrany tłum lub poszczególni wichrzyciele porządku, bez względu na to, czem są, winni niezwłocznie i bez sprzeczki zastosować się do żądania władzy. 3) Uprzedzam, że w razie nieposłuszeństwa oporni mogą doznać całej surowości prawa, przyczem, na żądanie władzy cywilnej, będzie wzywane wojsko dla działania orężem. Niniejsze obwieszczenie moje polecam gubernatorowi kijowskiemu ogłosić po mieście i w razie potrzeby wprowadzić w wykonanie bez żadnej zwłoki, pozostawiając mu wymierzanie na winowajców kary, przewidzianej w p. 2 art. 15 ustawy o wzmocnionej ochronie. Oryginał podpisał: generał-gubernator i dowodzący wojskami, generał-adjutant Dragomirow."

— *Praw. Wiest.* zamieszcza Imienny ukaz Najwyższy do senatu rządzącego z d. 27 marca (8 kwietnia): „Prezesowi warszawskiego komitetu cenzury,

r. st. Jankuljo — Najmiłościwiej rozkazujemy być członkiem nadetatowym rady głównego zarządu do spraw prasowych."

— Wobec tego, że gazeta *Birżewyja Wiedomosti* w artykule wstępnym nr. 91 naruszyła rozporządzenie głównego zarządu do spraw prasy, minister spraw wewnętrznych postanowił wyrazić jej trzecie ostrzeżenie i zawiesić wydawnictwo na dwa miesiące.

Z sądu. W Kielcach skończył się wielki proces przeciw jędrzejowskiej bandzie złodziei wiejskich. Do sprawy było powołanych 600 świadków. Najsurowiej skazano Tomasza Szlązaka (sześć lat ciężkich robót za opór z bronią w ręku, połączony z usiłowaniem zabójstwa). Na dwa lata i sześć miesięcy rot aresztanckich skazano 16, na dwa lata więzy — czterech, na rok i osiem miesięcy więzy — trzech; na rok jeden miesiąc i dni dziesięć więzy — jednego; na osiem miesięcy więzy — pięciu; na dwa miesiące więzy — dwóch, oraz na złożenie z urzędu: jednego wójta gminy i trzech strażników ziemskich. Ogółem skazano 36; uniewinniono 46. W liczbie skazanych 15 jest Żydów.

Zmarli. Alfred Schouppe w Szczawnicy. Najstarszy z artystów-malarzy polskich (ur. r. 1812).

— Aleksandra Glogerowa, w Jerzewie, żona Zygmunta Glogera, archeologa, historyka i ludoznawcy. Zmarła, szeroko znana jako zacna obywatelka; zajmowała się również pracami literackiemi.

— Alfred Odroważ Sypniewski, w Wiedniu. Wykładał historyę w wojskowych zakładach wychowawczych w Austryi. Napisał „Dzieje czasów najnowszych," które doczekały się czterech wydań niemieckich. Po polsku wyszły r. z. w Petersburgu.

— Michał Newliński, w Konstantynopolu; dziennikarz i wydawca *Correspondence del Est.*

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 9 Апрѣля 1899 г.   Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.